

Dekada Literacka

Kraków

9—15 III 1991 r.

Tygodnik

Nr 15

Raport Błońskiego

Chaos na rynku książek

Bogdan Wojdowski

Jan Błoński w ramach prac studyjnych Stowarzyszenia Pisarzy sporządził wnikliwy i bardzo staranny raport o obecnym stanie książki w kraju.

Celem jest poinformowanie opinii publicznej, właściwych władz i Ministerstwa Kultury oraz orientacja ogółu pisarzy w obecnej sytuacji. „uściśleniem stanowiska, które w tej sytuacji zajmie Stowarzyszenie”, żeby użyć słów autora raportu

Do roku 1988 produkcja książki wynosiła w przeliczeniu na jednego mieszkańca 7 egzemplarzy, czyli rozmiary plasujące Polskę na szarym końcu Europy. Pozornie — stwierdza Błoński — lata poprzednie były okresem stabilności produkcji, z tym że równoległe przebiegał proces daleko idącej przemiany: wzrost drugiego obiegu, który torował drogę wolnemu rynkowi, likwidacja cenzury,

rozwoj prywatnego edytorstwa oraz wyraźne zmiany profilu książki masowej.

W roku 1989 wystąpiła nagła zmniejszenie się ilości egzemplarzy na rynku — i od tego punktu zaczyna się głęboki kryzys obejmujący zarówno księgarstwo jak i edytorstwo krajowe. Zmniejsza się nakłady i popyt. Rośnie suma książek rozrywkowych, w sposób naturalny obumiera literatura indoktrynacyjna i propagandowo-polityczna.

Produkcja prywatna książki oparta jest na strukturalnie odmiennych zasadach od wielkich firm państwowych i w sposób oczywisty opiera swój byt na różnego rodzaju spółkach i przedsiębiorstwach, a co jest istotne z księgarskiego punktu widzenia — nie korzysta w tym samym stopniu z usług Domu Książki. Personal i zespoły redakcyjne tych nowych firm wydawniczych są z reguły nieliczne, co ma wpływ na ich budżety i ułatwia im dalszą egzystencję i aktywność. Nieobecne im jest

podjęcie komercyjnego — rzecz naturalna — i pogoń za jednorazowym zyskiem. Zjawiska piractwa, przechwytywania pozycji, zaniedbywanie umów zdarzają się często, o czym miałem już okazję wielokrotnie mówić, z tym że raport Błońskiego ogarnia całość problematyki książki w sposób komplementarny. Bardziej wyczerpujący.

Bolecząką tych firm wydawniczych jest dystrybucja, wobec chaosu na rynku radzą sobie w tym zakresie dotacjami fundacji oraz darowiznami z zagranicy. Marketing stał się również dotkliwą boleścią wydawnictw państwowych, które w bardzo nieznacznym stopniu usprawniły swoją maszynę biurokratyczną, ograniczyły personel w granicach od 5 do 15 proc. i — co nie było rzeczą zbyt kłopotliwą — pozmieniali dyrektorów i zespoły kierownicze. Błoński utrzymuje wręcz, że istnienie tradycyjnych firm podtrzymywane jest częściowo „fikcjami księgowości” i planowania.

(C. D. NA STR. 4)

Günter Grass

Tors kobiety

(Torso weiblich)

Pewnej środy, Heleno,
trzy i pół tygodnia po twych narodzinach,
wykopaliska odkryły tors (fragmenty, które pozwalały
smuć domysły)

i pięknie to opisano.

Tańczono na ulicach, wywoływano to słowo
po starogreczeńku.
To było dwa tygodnie przed zakończeniem afery
Watergate.

Przeczytasz o tym później, kto na wyspie Cypr
zakłócił wakacje.

Jak zwykle policzono zabitych
Turków Greków Turystów.

Lecz historia zmieniła się nagłe.
Wszystko ma być od nowa wzniesione,
co bez rąk i nóg wciąż było tylko kadłubem
i głowę niesie na krętogłowie
nad zakitowanym pęknięciem.

Demokracja — to kamień żelazny.
Mówię ci, Heleno, żaden mężczyzna —
nawet gdyby to była rzecz męska, ustalona —
nie może podważyć, odrzucić;

dlatego uśmiecha się kruchy.

Tłum.: BOLESŁAW FAC

Kobiety, łączcie się!

Stanisław Stabro

Ten tytuł, zbyt wyraźnie może przypominający pewien znany slogan, ma być w zamierzeniu autora symbolem treści o wiele poważniejszych, niż wyłącznie lingwistyczne harce. Chciałbym bowiem tym razem, raczej w niezobowiązującym trybie, poruszyć kwestię autentycznego położenia kobiety we współczesnym polskim społeczeństwie.

Darujmy sobie listki figowe publicystyki, zapewniającej nas o równouprawnieniu pici pięknej, jej emancypacji itd., itp. Z drugiej strony nie chciałbym tu występować w roli nieproszonego adwokata tych kobiet, które przez równouprawnienie i wolność osobistą rozumieją jedynie możliwość gnębienia na różne sposoby obecnych oraz byłych mężów, z którymi rozwiodły się kiedyś w majestacie prawa. Dotyczy to także zniechania się nad ojcam i wywiązuje się z alimentacyjnych zobowiązań w stosunku do swoich dzieci oraz wielu innych manifestacji, pożałuj Boże — „kobiecości”. Ta szczypta mizoginizmu niechaj mnie uwiarygodni, nie chciałbym bowiem występować tu w roli naiwnego skolity, który pragnie poprawiać Mikiewiczowski cytata o „puchu marnym

i wietrznej istocie”, mimo tego że ten wieczy i zarazem współczesny problem bardzo się wiąże właśnie z naszą tradycją.

Bo to ona głównie wykształciła w Polsce

typ kobiety biernej

i uległej, nie umiejącej walczyć o swoje prawa, ani o tę pozycję, którą w kulturze Zachodu dawno już osiągnęły jej koleżanki. Ile na przykład jest w Polsce intelektualistek wybitnej rangi, wpływających rzeczywistość na losy kultury i kraju? Można je policzyć na palcach obu rąk. I niechaj nas nie mylą dziewiętnastowieczne mity walecznej dziewczyny Emilii Plater i równie nieskalanej, dzielnej traktorzystki z lat 30. dziesiątych. Nie dajmy się zwodzić całej ideologii fałszywej emancypacji, mylonej w polskich warunkach z przymusem pracy, ponieważ pensja mężczyzny z reguły nie starcza na utrzymanie domu. Prawdziwa emancypacja jest kwestią wolnego wyboru całego, pół, lub ćwierćtatu a nie wynikiem ordynarnego, ekonomicznego przymusu. Emancypacja kobiety, pojęta na serio, przebiega w sferze autentycznej samorealizacji pici pięknej, podejmowanej na wielu płaszczyznach społecznych ról (na przykład prezydentura Mary Robinson w Irlandii, premierostwa Margaret Thatcher w Anglii), i, jak już podkreśliłem, z własnego, osobistego, niczym nie wymuszony wybór.

Tymczasem, kiedy czyta się takie wywiady jak ten z Magdaleną Nowicką z Polskiego Stowarzyszenia Feministycznego, zatykuwany nader symptomatycznie: „Obudzić kobiety”, zamieszczony na łamach 6. numeru „Przeglądu Tygodniowego” z bieżącego roku, ogarnia człowieka zgroza. Chociaż nie na zasadzie hasła odurzającego niegdyś przez krakowskiego „Studenta”: „Kobieta przyjaciółem człowieka”. Wywiad ten jest bowiem, co nie dotyczy oczywiście bohaterki tekstu z „PT”, przynajmniej dowodem braku wśród polskich kobiet świadomości owego duchowego i fizycznego zniewolenia przez określoną tradycję oraz różnorakie współczesne czynniki. Cóż z tego, że w Polsce działa cały szereg organizacji o charakterze quasi-feministycznym, kiedy na co dzień są one prawie niewidoczne. Dość tu wylizyć Demokratyczną Unię Kobiet, Godność Kobiet, Klub Kobiet, Konfederację Kobiet Polskich,

Niemal każde szaleństwo kobiety wypływa ze złego lub głupiego wpływu męczyzny
Michelet

Ligę Kobiet Polskich, Polski Związek Zwykłych Kobiet, Radę Polek, Ruch na Rzecz Obrony Praw Kobiet, Ruch Samoobrony Kobiet, Komitet Obrony Kobiet, Stowarzyszenie Godności Kobiet, aby zdać sobie sprawę z rażącej dysproporcji pomiędzy potencjałem hipotetycznych możliwości tych organizacji w dziedzinie zmiany rzeczywistości a ich realnym oddziaływaniem. Magdalena Nowicka zapytana o działania skierowane przeciwko ustawie antyaborcyjnej odpowiada, że „po dwóch latach różnych działań w tej sprawie, to zaczyna być głównie uczucie bezradności”. Na inne pytanie dotyczące liczebności Polskiego Sto-

warzyszenia Feministycznego odpowiada, że jest to kilkadziesiąt osób w samej Warszawie i bliżej nieokreślona ilość sympatyków. Takimi słami, chociażby w postaci towarzyskiego spotkania przed Sejmem, nie wygrywa się jednak żadnej batalii. W taki sposób oddaje się jedynie walkowerem swoją społeczną i życiową szansę.

Tego walkoweru nauczyła kobiety polskie

tradycja spod znaku
Matki-Polki

Już slysze te głosy oburzenia na szarganie przeze mnie „narodowych świętości”, ale to przecież właśnie kultura polska na spółkę z historią zafundowały naszym niewiastom olśniewające możliwości. W ciągu prawie dwustu ubiegłych lat, kiedy w Europie następował powolny proces emancypacji kobiet, aby w wieku dwudziestym osiągnąć swoje apogeum, kolejne pokolenia Polek mogły się realizować głównie w trakcie noszenia paczek do kolejnych rosyjskich, niemieckich, polskich więzień, oplakiwania syna, brata i męża, uklepywania nowego grobu. I szczęśliwe były jeżeli w ogóle mogły go uklepać w odróżnieniu od tych, którym pozostawały tylko bolesne wspomnienia i strzęp fotografii. Ten martyrologiczny rytym naszych dziejów — w każdym pokoleniu nieudane powstanie, w prawie każdym przegrana de facto wojna — fatalny dla naszego życia umysłowego, wyrobił także w polskiej kobiecie, podobnie jak i w całym społeczeństwie, historyczny fatalizm. Tak jak efektem tego fatalizmu na szarej płaszczyźnie społecznej jest przekonanie wzmacniane przez typ naszej kultury, że Polska może być tylko „przedmurzem”, obrotowym, bo obrotowym, ale zawsze „przedmurzem”, że Jaś, Kasia i Fran-

(C. D. NA STR. 4)

DUSZA A UBIÓR (II)

Ireneusz Kania

Oto kolejny odcinek poważnych rozważań o nie-poważnej z pozoru sprawie czyli naszym ubiorze...

W co ubierają się Polacy

Prawy Polak odziewa się nie tylko w blue jeans (lepiej nawet: JEAENS, jak możemy przeczytać na szyldzie pewnego „wytwornego” sklepu w centrum Zakopanego). Powszeźdy widzimy mnogość wszelkiej pstrokaczyny, zarówno na panach, jak i paniach. Na pierwszy rzut oka tłum przewalający się po ulicach, bazarach i tzw. giełdach robi wrażenie ubranego kolorowo, wesoło i oryginalnie.

Gdy jednak przyjrzyć mu się bliżej, widać, że tę różnorodność i barwność można sprowadzić do zaskakująco skromnej liczby typów, wyjątkowych, swego rodzaju archetypów.

Wyróżniłbym ich trzy: jeden rezerwuję dla dam, jeden dla panów, jeden jest mieszany, androginiczny. **PIERWSZY:** krótka, obcisła spódniczka, często z materią przetykaną złotym lub srebrnym szychem albo ze skóry, pończochy kolorowe lub czarne, często siatkowe bądź we wzorki i desenie, wysokie buty, na grzbiecie — kurtka skórzana lub z materiału (w kratę, albo i nie), w uszach płaty lśniącej blachy o możliwie dużej powierzchni albo obrzeże o możliwie dużej średnicy. Makijaż zielony, trypiofioletowy, ciemnobrazowy, takiegoż koloru fryzura wysoko unieśta.

TYP DRUGI: portki przykrótkaawe („na głęboką wodę”, jak mawia moja siostra), ale za to bufiaste, luźne, w kolorach jaskrawych — różowym, żółtym, jadowicie zielonym, często w barwną kratę lub w paski; marynarka lub kapota z barczystego chłopa, często w kratkę, fryzurka krótka a la garçonne, palto z pradziadka, do połowy tydki. (Typ obojnaczy.)

(Typy powyższe w stanie czystym spotyka się, choć nie często; na ogół występują w postaci mieszanej, hybrydycznej).

Panowie...

Tu dominuje — oprócz rzeźzonego dżinsu (ulubionego zwłaszcza przez einkciarzy i przekupniów hazardowych) i workowatych pantalonów — kurteczka z najprzeróżniejszych materiałów, pochodzenia naturalnego i nie, we wszystkich możliwych kolorach i ich połączeniach, często

tak niesłychanych, że — jak ktoś powiedział celnie — „nawet papugę dziób by od nich rozboleł”. Cechą charakterystyczną, wręcz niezwykłym elementem konstytutywnym kurteczki jest możliwie duża ilość kieszeni, kieszonek, paszków, „szczypanek”, sprzączek, klamerek i kólek, których przeznaczenie nawet dla wnikliwego obserwatora musi pozostać niezgłębioną tajemnicą.

Występuje też, w różnych odmianach, strój rodem z pewnych dziedzin sportu, szczególnie narciarstwa alpejskiego i himalaizmu: kufajki-puchówki, ocieplacze narciarskie itd. Widuje się też pseudocygańszczyznę i takież orientalizm.

Do elekawych wniosków prowadzi nas refleksja nad pochodzeniem tych archetypów odzieżowych, nad źródłami inspiracji. (W istocie mówienie o „inspiracjach” w tym kontekście nie wydaje się całkiem słuszne, wszak wiadomo, że większość ludzi do kwestii stroju podchodzi bezrefleksyjnie i raczej biernie; nie unieważnia to przecież ich decyzji jako określonego wyboru. Dlatego lepiej zająć się aspektem neutralnym — tej kwestii i zastanawiać się nad pochodzeniem poszczególnych form ubioru.) Ich „sztuczność” rzuca się w oczy; ludzie tak się noszący sprawiają wrażenie nie tyle ubranych, co przebranych. Za kogo? Oto pytanie kapitalnej wprost wagi.

Przedstawiciele starszych pokoleń nie mają tu najmniejszych wątpliwości. Jeśli bywali ongiś w „wielkim świecie”, albo nawet tylko oglądali w antykwaracie pocztówki z wielkich europejskich metropolii lat dwudziestych na przykład — w pierwszym typie niechybnie rozpoznają panienkę wystającą pod latarniami na ulicach Paryża czy Berlina. Innymi słowy, ten „archetyp” jest rodem z zamtuza; do dzisiejszej „kultury” masowej trafił bodaj przez okładki komiksów.

Typ drugi jest swojskiej proveniencji, wiedzie się z epoki przedtelewizyjnej, gdy do naszego kraju często przyjeżdżały renomowane cyrki międzynarodowe i gdy ludzie wszelkiego wieku i stanu tłumnie je odwiedzali. W rzeczy samej, ten typ ubioru ma

swój pierwowzór w stroju kłowna.

Najjawniejsze jest pochodzenie typu trzeciego, męskiego: opisana kurtka o skomplikowanej architekturze ma genealogię niewątpliwie militarną. Wzorcem był tu głównie ubiór komandosa amerykańskiego. Nawiązania wojskowe są często dosłowne (kurtki mundurowe), podkreślone barwą: feldgrau, feldgrün, „panterka” khaki. (Militaryzacja na równi z „erotyzacją” form wyrazu „kultury” masowej to osobne i fascynujące zagadnienie; wystarczy uświadomić sobie, że prawie żaden z przebojów muzyki młodzieżowej nie może się obyć bez efektów dźwiękowych naśladowanych do złudzenia wybuchy granatów ręcznych, serie z pistoletów maszynowych itp.)

Mamy więc cztery główne źródła popularnej mody współczesnej: praca w warsztacie i na roli („farmerki”), burdel, cyrk i wojsko (z podtypem „sport”). Swoisty dla tych środowisk społecznych sposób ubierania się zdominował strój codzienny olbrzymiej większości tzw. zwykłych ludzi. Zbyteczne jest dodawać, że najczęściej nie są oni świadomi tego, co w istocie noszą na grzbiecie i niżej.

Ta konstatacja skłania do długiej refleksji. Dlaczego tak się stało, jak doszło do tak wielkiego triumfu subkultury?

„Człowiek masowy” a styl

Albowiem od razu jest jasne, że wzmiankowane źródła „mody” współczesnej zawsze dotąd mieściły się na społecznym marginesie. Można by zadowolić się stwierdzeniem, że strój jest tylko jednym z elementów tzw. kultury masowej, (będącej w istocie ziggantyzowaną syntezą rozlicznych subkultur proveniencji marginalnej), i że jej zwycięski pochód, zawłaszczanie przez nią coraz to nowych obszarów życia, bezwzględne wypieranie przez nią form „wyższej” kultury (czyli kultury tout court) jest wyrazem demokratycznej emancypacji tzw. mas ludowych, szczególnie miejskich; z drugiej strony proces ten ma związek z pojawieniem się „człowieka masowego”, co przepowiadał Ortega y Gasset, a jeszcze wcześniej — Nietzsche. Człowiek ten nie ma już żadnych kompleksów, bezgranicznie wierzy w siebie, w to,

że wszystko potrafi zrozumieć sam, że nikt nie musi go (bo i jakim prawem?) o niczym pouczać. Ten człowiek wyznaje zasadę: „Zadnego nasterza, sama trzoda! Każdy jest równy, każdy chce działać równo” (Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. W. Berent). Korelatem opisywanego tu zjawiska z dziedziny współczesnej „kultury” masowej jest „człowiek masowy”, a nie po prostu — człowiek.

Nie ulega wątpliwości, że kultura „wysoka” szybko traci swoją niegdysiejszą atrakcyjność, co idzie w parze (i zwrótnym związku) z utratą autorytetu i prestiżu wszelkich elit. Była ona zawsze związana z tzw. wyższymi warstwami społecznymi; jakżeby mogła nadal pełnić rolę systemu odniesień dla warstw „niższych”, skoro społeczna materia rozlała się płasko i wymieszala jak rzadkie ciasto na patelni? Etnografowie udowodnili już dawno, że tzw. sztuka ludowa wielu narodów nie jest autogeniczna, że np. strój ludowy (choćby i nasz góralski) czerpał inspirację z pałacu, dworu i przetwarzał je, nieraz zresztą genialnie, dając początek nowym, cennym wartościom estetycznym. Te z kolei zapładniały interwencje artystów tworzących w sferze „wysokiej”: vide muzyka.

Lumpenproletaryzacja

Dziś rolę normotwórczą w pewnych dziedzinach kultury, spełnianą dawniej przez warstwy społeczne zajmujące pozycje centralne, przejęły środowiska dotąd znajdujące się na obrzeżach społeczności, nieraz nawet już w „strefie cienia”. W szybkim tempie następuje nie tylko „demokratyzacja” poszczególnych dziedzin szeroko rozumianej kultury, jak ubiór czy muzyka rozrywkowa; obserwujemy wręcz coś, co można by nazwać „lumpenproletaryzacją” (starałem się to połączyć na przykładzie ubioru). Bierze się to, rzecz jasna, z ogólniejszego zjawiska kryzysu, rozpadu systemów wartości dotychczas wyraźnie lub mniej wyraźnie obowiązujących, a w każdym razie deklarowanych. Gdy usycha aksjologiczny rdzeń tradycyjnych kategorii porządkowania świata, takich jak np. styl, samo to pojęcie traci treść i sens. Gdy lansuje się beztrąsko tezę, że „nosić można wszystko” i że każdy styl jest równie dobry, oznacza to, że w istocie żadnego stylu już nie ma i że żaden styl nie jest już możliwy (język przeszedł w nieartykułowany bełkot). Możliwa jest jeszcze tylko moda, tzn. zbiorowe, bezmyślne i koniunkturalne naśladowanie takiego czy innego stylu. W tym sensie modę można uważać za całkowite przeciwieństwo stylu.

Styl to człowiek

Albowiem — powtórzmy za Buffonem — „styl to człowiek”, i dodajmy: ale nie każdy, lecz tylko świadom swojej podmiotowości, twórczy, przywiązany do jasno określonych wartości. Formułę Buffona można przecież odwrócić: człowiek — to styl. Oznacza to, że „człowiek pełny”, o jakim mówiliśmy wyżej, na wszystkim, co robi, tworzy, mówi, myśli, czego pragnie i co odrzuca — wyciska właściwe tylko sobie, niepowtarzalne, „personalne” piętno. Jeśli zatem jesteśmy świadkami zanikania kategorii stylu i konstytuujących ją pojęć (wielu ludzi słów takich jak umiar, harmonia, elegancja, ład, po prostu już nie rozumie, a jeśli rozumie, kojarzy je z jakąś „odszywaną”, niecodzienną sytuacją), to znaczy, że zanika też człowiek jako indywidualność. Zastępuje go „człowiek masowy”. Styl „przebierankowy”, powszechnie dziś obserwowany i zdaniam moim, dominujący jako idea, jest przeciwieństwem ilustracją powstającej tendencji do wyrzekania się samoafirmacji, do odciskania na stroju indywidualnego piętna, świadczy natomiast o chęci utożsamienia się z „kimś innym”. Wydaje się, że coraz więcej ludzi zaczyna odczuwać niechęć, a wstręt do siebie takiego, jakim się właśnie jest — czyli do „seryjności”, tuzinkowości reprezentowanego przez siebie człowieczeństwa. Jest paradoksem, że ten potencjalnie „indywidualistyczny”, „personalistyczny” bunt człowieka współczesnego kończy się jeszcze większym ujednoczeniem ludzkiej masy, społeczności. Bunt „człowieka masowego” przeciwko autorytetom, przywodzący do upadku kategorii stylu (bo styl zawsze jest emanacją autorytetu osobowego — indywidualnego bądź zbiorowego), prowadzi do zastąpienia stylu modą — odpersonalizowanym wytworem cywilizacji konsumpcyjnej narzucanym przez mass media i w ostatecznej konsekwencji zacierającym ekspresję osobowości pojedynczej, indywidualnej — a ta jednak jest wartością. Współczesna moda masowa jest zatem nie tylko przejawem kryzysu wartości; sama w tej sferze jawi się jako kryzysogenna, przyczyniająca się do erozji wartości. Ustabilizowany kryzys stylu jako pojęcia i wartości jest w gruncie rzeczy kryzysem człowieka, zapowiada schyłek człowieka. Jak bowiem korelatem stylu jest człowiek, tak też korelatem mody jest masa, tłum. Jako taka, moda zaczyna nieuchronnie pełnić funkcję jeszcze jednego instrumentu socjotechniki.

Wydaje się, że dotyczy to nie tylko sfery, której poświęcone są te rozważania — sposobom ubierania się w Polsce A.D 1990—1991.

Co nowego w prasie?

TYGODNIK LITERACKI po podziale zespołu; w stopce redakcyjnej wielkie zmiany — zmikł „areopag”, wymienila się większość składu redakcji, nowym naczelnym jest Waldemar Gasper (poprzednio był zastępcą naczelnego). A w numerze (9) obszerny wywiad ze Stanisławem Lemem drukuje Adam Michajłow. Ta wielowątkowa rozmowa jest między innymi także oceną stanu współczesnej polskiej kultury. St. Lem należał zawsze i należy do tych niezbyt licznych autorytetów intelektualnych, które bez ogródek wypowiadały swoje opinie, nie troszcząc się o ich przyjęcie przez „patriotyczne” i zado-

wolone z siebie grupy i środowiska. Na pytanie o przyszłość kultury odpowiada tu m. in.: *Jestem niespokojny o literaturę z dwóch powodów. (...) po pierwsze mamy bardzo mało debiutów, zwłaszcza prozatorskich. Brakuje literackiego narybku (...) Jest rzeczą ponurą, że wśród ludzi, którzy reprezentują literaturę nie ma panów poniżej sześćdziesiątki. (...) Po drugie, niezmiernie trudno jest pisać w obecnej sytuacji. Marksizm, który do niedawna mógł być jakimś wkładem odniesienia, jest już martwy. (...) Jedyne, co wydaje mi się teraz możliwe, to jakieś nawiązanie do wczesnych powieści Kadena-Ban-*

drowskiego, w których przedstawia on radość z odzyskanego „własnego śmietnika”, formowanie się państwa, walki polityczne. Nie są to jednak tematy frapujące ani dla polskiego czytelnika, ani tym bardziej dla świata (...) A oto opinia o ogólnym stanie kultury polskiej: *Rozpad kultury spowodowany stanem wojennym trwa nadal. Naprawdę nie mamy się czym chwalić. (...) Jeśli nawet trafiają się sukcesy w skali światowej, to są to indywidualne przypadki. Wszystko się rozleciało — nie ma ani wyrazistych nurtów, ani grup literackich, a jeśli chodzi o teorię literatury to jest jeszcze gorzej (...)* Muszę powiedzieć brutalnie, że nie odczuwam życia kulturalnego w Krakowie.

Na pytanie, czy eksplozja demokracji przyniesie jakieś korzystne zmiany w kulturze, pada odpowiedź: *Sytuacja jest paradoksalna, ponieważ rzeczywistość oczekiwano, że kiedy upadną mury i cenzury, to wszystko rozkwitnie. Ale jakoś nie chce rozkwitać. Jeśli*

chodzi o literaturę, to jestem ostrożnym pesymistą. W innych dziedzinach — jak film czy teatr — sytuacja jest o tyle łatwiejsza dla tych, którzy są gotowi zmartwić się panującą tam pustką, że zawsze można powiedzieć — nie ma pieniędzy. Podczas gdy ludzie pióra potrzebują tylko kartki papieru.

A jak widzi naszą rzeczywistość przyjaciel-cudzoziemiec? Jest nim Hans Henning Hahn, ur. 1947, doc. historii na uniwersytecie w Kolonii, zajmujący się literaturą polską XIX w., autor książki o ks. A. J. Czartoryskim, którego uważa za jednego z najwybitniejszych polityków europejskich tamtego stulecia. Aktywny sympatyk KOR i „Solidarności”, w latach 80. pozbawiony polskiej wizy, ostatnio znów odwiedził nasz kraj. **TYGODNIK POWSZECHNY** (nr 9) zamieszcza rozmowę z nim przeprowadzoną przez Zbigniewa Barana. Oto wrażenia Hahna po 10-letniej nieobecności w Polsce: *„razi mnie pewną uściskłość (...) w sen-*

się zachowań politycznych i społecznych (...) uważam, że nie można dziś mentalnie nawiązywać do lat dwudziestych i trzydziestych (...) szczerze mówiąc, razi mnie często krzykliwość i anachronizm symboliki i słownictwa (...) I te narodowe celebry, pogrzeby, ekshumacje...

Ukazał się pierwszy nr miesięcznika KARTA. Jest to b. starannie wydawane pismo historyczne, poświęcone przede wszystkim relacjom (nie tylko polskim) i dokumentom dotyczącym opresyjnej działalności bolszewizmu i hitleryzmu, a także problematyce polskiej emigracji oraz mniejszościom narodowym w Polsce. Pismo jest kontynuacją — w fermie znacznie doskonalszej i okazalszej — podziemnego wydawnictwa „Karta” i stworzonego przez nią Archiwum Wschodniego.

Czas zbeczczczenia (III)

Józef Bau

Wydana w Tel-Awiiwie książka Józefa Baua opowiada o zagładzie Żydów w krakowskim Płaszowie. Oto jej drugi fragment. Autor sam tę książkę wydał, wykonał okładkę, a także rysunki. „Nie jestem odpowiedzialny za treść, podyktowało ją życie” — napisał na jednej z kart...

W BARAKU „KOMENDANTURY” URZĘDOWAŁ TEŻ „BALLAJTUNG” (kierownictwo budowy). W „ballajtungu” pracowali tygodnicy inżynierowie. Według szaleńczych i krótkoterminowych rozporządzeń „komandira”, wykonywali przedsięwzięcia niemożliwe do wykonania, prowadzili prace, jakich żaden normalnie myślący budowniczy nie był w stanie się podjąć. Grupy „barakenbal” harowały nieraz bez przerwy dzień i noc, w gorącym biegu, według podwójnych i wielokrotnie zwiększonych norm, aby skończyć „pilne zamówienie” w wyznaczonym terminie... Odpowiedzialnym za wszystkie szaleństwa „komandira” był inżynier Gründberg, który otrzymywał pełną odpowiedzialność za każdy błąd i za każde spóźnienie. Inż. Gründberg wiedział, że jest potrzebny „komandirovi”, że on go nie wykończy... dlatego świadomie brał na swój rachunek wszystkie pomyłki pomocników, którzy według urzędowego „cennika”, powinni byli dostać kule w łeb za swoje błędy. Bez słowa „inkasowal” chłosta, która mogłaby powalić czempiona boksu ciężkiej wagi. Po strasznych torturach, inżynier Gründberg nie był podobny do ludzkiej istoty — i mimo wszystko, musiał dalej pracować, bez opatrunku i bez zabiegu „pierwszej pomocy”. Na baraku „komendantury” w „moim Płaszowie”, pali się wieczny płomień przed pamiątkową tablicą: „Świętemu Męczennikowi, b. p. Inżynierowi Zygmuntovi Gründbergowi, który poświęcił siebie, aby ratować bliźnich. My, b. więźniowie Płaszowa — nigdy Go nie zapomnimy”.

PRZEZ JAKIŚ CZAS PRACOWAŁEM W „BALLAJTUNGU” JAKO KREŚLARZ PLANÓW OBOZU. Także i ja niejedną raz dostawałem skierowanie od „komandira” do żydowskiej policji, aby otrzymać tam, według rządowej normy „dwadzieścia na duche”. Kilka razy tylko cud ocalał mnie przed morderczą kulą z jego rewolweru... Dlatego bałem się „komandira”, strach przed nim pokonywał inne strachy. Aby pozbawić moją twarz ostatniej kropli krwi, wystarczyło tylko dźwięk głosu Goetha, nawet przefiltrowany przez ściany, nawet dochodzący z daleka. Gdy Goeth pojawił się w okolicy, albo ktoś powiedział, że jest możliwość wizyty Goetha — białem kompletnie, wargi krzepły mi w dwa kawałki lodu, serce „potykało się” i przestawało funkcjonować, a kregoszp zamieniał się w tętniące mrowisko... przeważnie jako pamiątka po takim przeżyciu pozostawał mi kilkugodzinny ból głowy i zaburzenia w całym systemie nerwowym.

ZDARZAŁO SIĘ, ŻE URZĘDNICY Z SASIEDNICH BIUR WCHODZILI DO POKOJU, W KTÓRYM PRACOWAŁEM, aby ostrzec wszystkich, że Goeth już przyszedł i podobno zjawi się też i u nas. Skurczony, pełen śmiertelnych przeczuć, czekałem na groźną wizytę, która mogła być dla mnie tragiczna. Gdy ostrzeżenia zaczęły się powtarzać po kilka razy dziennie, a zapowiedziany najazd nie urzeczywistnił się — inżynier Gründberg wytłumaczył mi na czym rzecz polega: „Po pierwsze, Goeth już dwa tygodnie nie był w lagrze; po drugie, słyszałem, że robia z ciebie przedstawienie, mówią że ty jesteś cudem dwudziestego wieku, wystarczy powiedzieć ci: Goeth się zbliża, abyś stał się biały jak papier... i przydrowadzia ciekawskich, aby im ciebie pokazać”.

PRZED NAMI „HALA PRZEDPOGRZEBOWA” — Dziś pozostały tylko gruzy budowli kopulastej we wschodnim stylu, która służyła przed wojną jako główne wejście na cmentarz. Niemcy zamienili ten budynek na stalnię dla koni. Z biegiem czasu, gdy liczba skonfiskowanych koni żydowskich wzrosła do stu, przenieśli stajnie do specjalnego obozu, a stylowy budynek rozwalili dynamitem. Nie wiadomo dlaczego nie zburzyli go doszczętnie... może zostawili zrujnowane ściany jako

symbol i pomnik poniżonego żydostwa polskiego?

SZOSA SKRĘCA W LEWO. TERAZ PRZECHODZIMY OBOK „WACHKASERNY” — jednopiętrowe koszary, zbudowane w formie prostokąta. Z czterech stron szerokiego podwórza, stoja baraki, w których znajdują się pokoje żołnierzy ukraińskich, kuchnia, jadalnia, kantyna, magazyny broni i warsztaty żydowskich szewców i krawców. Aby stworzyć ponurą atmosferę, zbudowano główną bramę na podobieństwo twierdzy średniowiecznej. Ustawienie koszar było makabryczne. Panowała zima, wiały mroźne i gwałtowne wiatry, padał śnieg zmieszany z deszczem... a budynek wznoszono na spadzistym terenie, na mokrej i błotnistej ziemi. Dużo ludzi padło ofiarą przy tworzeniu tego „dzieła architektonicznego”, przy którym byli zatrudnieni wszyscy więźniowie w obozie. Oprócz stolarzy, ślusarzy i blacharzy, którzy pracowali bez odpoczynku, dzień i noc, przez siedem dni w tygodniu i bez względu na święta — także reszta ludzi, zatrudnionych w różnych warsztatach, pomagała przy transportowaniu materiałów budowlanych. Po apelu porannym i przed apelem wieczornym

szczelnie zamkniętej szafy i przystosowany tylko do stania. Był tu też karcer nadający się tylko do leżenia, tak, że wpychało się człowieka głową do przodu. Specjalny stół do dupobicia, łańcuchy do wieszania, bykowie wykonane z naciętych i wyschniętych byczych członków... Oprócz tych specjalności antyludzkich, były tu też cele wilgotne, ciemne i zamknięte na kilka spustów, z małą zasuwką w drzwiach, do podawania wody. Kto dostał skierowanie do tego fachowego zakładu, nie wychodził już z własnych sił; ciągnięto go za nogi, prosto do masowej mogiły, gdzie oczekiwali go towarzysze wspólnego losu, którzy tego dnia zakończyli beznadziejną walkę o byt.

DOSZLIŚMY DO SKRZYŻOWANIA DRÓG — przed nami ulica „Esesstrasse” prowadząca na „Noje gelende” (Noje tereny). Wzdłuż tej ulicy stoja wille oficerów i willa czerwona (rotshals), w której mieszkał „komandir” Goeth. My idziemy na prawo, ulica Bergstrasse w kierunku bramy do obozu mieszkalnego. Z lewej strony, u podnóża góry, znajduje się „sztajnbruch” (kamieniołom).

KAMENIOŁOM BYŁ ZNAKIEM FIRMOWYM OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH I ICH NIEROZŁĄCZNA CZĘŚCIĄ. Kamieniołom płaszowski posiadał własny patent: kobiety ciągnięty w wagonkach kamienie ze skruszonej skały na „Noje-gelende”. Kolejka — „manszafacug”, składała się z trzech wagoników (w każdym dwie tony kamieni), do których było zaprzęgniętych 70 kobiet, w dwu szeregach. Kobiety, chude, blade i głodne, odziane w podarte szmaty zastępowały lokomotywy. Praca trwała 12 godzin, od szóstej wieczór do szóstej rano, bez względu na ciemność nocy, mróz, błoto, deszcz albo śnieg i lód. W ciągu jednej zmiany, według normy, kobiety musiały 15 razy wyłazić kolejkę na „Noje-gelende” i 15 razy opuszczać próżną do „sztajnbruchu”. Grupa „sztafkoman-do” (karna kompania) rąbała kamienie w kamieniołomie. Ludzie oznaczeni

ny głazem. „Kapo sztajnbruchu” miał jeszcze kilka innych sposobów zabijania, które sam wymyślił i na które posiadał zastrzeżone prawa.

OBOK KAMENIOŁOMU STOI BARAK „PUFHAALS” (BORDEL) dla obsługi esesmanów i Ukraińców. Z powodu „rasenszande” (obraza rasy) Żydówki nie były w nim zatrudnione.

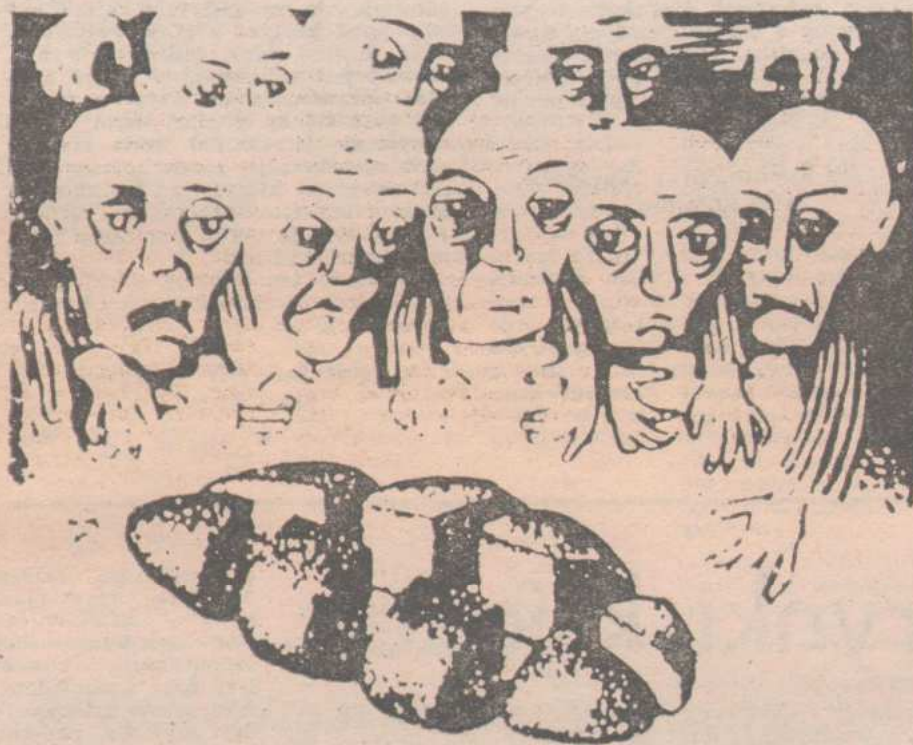
Sąsiedni barak, stojący przy szosie, był przeznaczony na biura „ferwaltungu” (zarządu). Tu znajdowała się główna kartoteka wszystkich lagrowców. Tutaj żydowscy urzędnicy pod niemiecką komendą przygotowywali spisy tych, którzy zostali przeznaczeni do spalenia: starych, chorych, niezdolnych do pracy i dzieci. W „ferwaltungu” urzędował „lagerfirer” (komendant obozu mieszkalnego) i tu na podwórzu czaiła się szubienica z automatyczną zapadnią.

Pewnego razu, w zimie, „ballajter” pokłócił się z „lagerfirerem” i postanowił spłatać mu figla... W tym wypadku ja grałem rolę głównej ofiary. W owym czasie pracowałem u elektryków. „Ballajter” zawezwał mnie do swego biura, abym rysował plan obozu. Wieczorem zatrzymał wszystkich pracowników i powiedział mi, że jestem zwolniony z nocnego apelu. To był tylko bardzo śmieszny „kawał”, ponieważ on w ogóle nie telefonował do „ferwaltungu” i nie zawiadomił „kapo” elektryków, że ja pracuję w biurze. Kiedy wracałszy późną nocą „do domu” i inżynier Gründberg zameldował „lagerfirerowi”, który stał przy bramie: „Cwał unti cwancig hefflinge fon ballajtung unti ajner elektriker” (dwudziestu dwu więźniów z biura budowlanego i jeden elektryk)... okazało się, że nie byłem obecny na „apelplacu” w czasie liczenia. Szukano mnie w całym obozie. Ja byłem winien, że „wszyscy więźniowie stali na śniegu przez kilka godzin, zamiast iść jeść i odpocząć po ciężkiej pracy” — tak przynajmniej tłumaczył mi „lagerfirer”, gdy walił mnie biczem po głowie. Po kilkudziesięciu ciosach w czaszkę, ładnie mu podziękowałem, poprosiłem o przebaczenie i przyrzekłem, że już nigdy nie spowoduję mu takich przykrości. Jak pijany i prawie pozabawiony przytomności, wstałem do grupy inżynierów powracających do obozu mieszkalnego... na drugi dzień szłałem, jak „ballajter” z ironicznym śmiechem opowiadał innym esesmanom, że nabrał „lagerfirera” — po prostu można pęknąć ze śmiechu, cha! cha!

PRZESZLIŚMY PRZEZ „DRUGĄ BRAMĘ” i teraz jesteśmy szczególnie zamknięci w obozie mieszkalnym, który jest jedną z części całego obozu płaszowskiego. Powyższy obóz mieszkalny jest znów podzielony na kilka mniejszych obozów, otoczonych kolczastymi drutami: obóz mężczyzn, obóz kobiet, kwarantanna, obóz chorych... i w każdym takim małym obozie, który jest częścią obozu mieszkalnego, który z kolei jest częścią ogromnego obozu płaszowskiego, znajdują się jeszcze różne małe obozy, otoczone kolczastym drutem i każdy taki oboz, posiada bramę, w której stał strażnik. Gdy ktoś musiał przechodzić służbowo przez te wszystkie piekielne bramy, czy to w czasie wyjścia, czy przyjscia, stawał „na baczność” przed strażnikiem, zdejmował czapkę i głośno meldował się w szwabskim żargonie, np.: „Wieżień, numer sześćdziesiąt dziewięć, zero, osiemdziesiąt cztery, idzie na rozkaz... do... i proszę o pozwolenie wyjścia (wejścia). W każdym baraku był „barakeneltester” (kierownik obozu) i w każdej grupie był „kapo” — przed każdym takim honorowym wybrańcem zasranego losu trzeba się było meldować, a kto zapomniiał lub się pomylił, dostawał najajem odpowiednią zapłatę.

Z PRAWEJ STRONY WIDZIMY „APELPLAC”. Obszerna przestrzeń, na której dwa razy dziennie gromadziło się dwadzieścia cztery tysiące ludzi. Według ilości mieszkańców i według praw normalnego świata, obozowi płaszowskiemu należy się tytuł miasta średniej wielkości. W czasie specjalnych wydarzeń, staliśmy wszyscy, nieraz przez cały dzień i noc, bez przerwy, stojąco, w kompletnej ciszy, bez jedzenia i bez prawa wyjścia do latryny. Marny był los tego kto wystąpił z szeregu, albo coś powiedział, albo usiadł na ziemi. Ludzie spali stojąc, zakatwiali się do misek na zupę... i aż do ostatniej chwili nie wiedzieli, co ich czeka. Dwadzieścia cztery tysiące Żydów stało od rana do wieczora, nie otwierając ust, nie ruszając rękami... i można było usłyszeć brzęczenie muchy w powietrzu.

(CDN)



Rys. Józef Bau

dźwigał na plecach deski, rury, kamie, nie i cegły. Kiedy już stała część budynku, nagle wózek pełen cegieł tracił jedną ze ścian... i cały ten interes zawalił się jak domek z kart. Esesman Hujar, który był nadzorcą budowy, oskarżył inżyniera Diane Reiter, że spowodowała katastrofę... i zaczął ją bić, czować. Reiterówna była małą i szczupłą kobietą — po pierwszych uderzeniach zemdlała... ale esesman nie przestał siekać ją pejszem. Ze zwierzęcą namiętnością tłukł rozpadające się ciało. Słyszałem tylko świst bicia i widziałem czerwony dysk szwaba, pokryty śliną i potem, jak się pochylał i unosił w sadystycznej ekstazie. Na zakończenie, wyrzucił serie kul w sterłe kości, szmat i krwi, jak gdyby chciał się upewnić, że inżynier Diana Reiter już więcej nie wstanie.

OTO „GRALENHALS” (SZARY DOM). Ta kamienica została zbudowana przed wojną i była jednym z ważnych fragmentów obozu — mieszkał tu „wybitni” esesmani: Hujar, Zdrojewski, Landsdorfer, Ekert i Glaser... a w piwnicy mieściło się więzienie — i to nie zwykłe więzienie, tylko prawdziwe podziemne kazamaty tortur. Był tutaj karcer, bardzo ciasny, podobny do

czerwonym kotem na plecach, odkomenderowani do „strafkomando”, harowali bez wytchnienia. Ich „kapo” Erik był rasowym Niemcem, w którego żyłach musowała czysta krew niemiecka. Zielony trójkąt z numerem osobistym, przyszyty na froncie bluzki, podkreślał jego szlacheckie pochodzenie: „berufsferebrecher” (zawodowy przestępca). Mordowanie sprawiło mu prawdziwą przyjemność — gdy nie miał okazji usmięrcania ludzi, zabijał Żydów. Szczycił się, że należał do amerykańskiej szafki sławnego bandyty Dillingera i jakie oznaczenie za rzetelną współpracę, dostał dotychczasowe więzienie. Lubił rzucać ofiary na ziemię, kłaść jej drażkę na szyję i stawać na obu końcach owego drażka... Nieraz rozkazywał jednemu z grupy wziąć na plecy wielki i ciężki kamień, gonić z nim dookoła, a on stał w środku jak na arenie cyrkowej i smagał nieszczęśliwca batem, aż ów padał przygnięto.

Kobiety, łączcie się!

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

ciszek mają być zawsze zakładnikami warunkujących historyczny dobrobyt Johna, Catherine i Francois, tak w podświadomości polskiej, przeciętnej kobiety tkwi dziś przekonanie, że jej koleżanka z Zachodu ma prawo do wycieczki na Tahiti, a ona przede wszystkim do wycieczki z paczką do Białoleki.

„Uśpienie” kobiety

w dziedzinie świadomości przyrodzonego jej prawa do autentycznej wolności indywidualnej i społecznej wzmacniane jest dodatkowo przez hipokryzję w tej dziedzinie naszej kultury, naznaczonej katolicyzmem. Na przykład tak powszechny kult Matki Bożej, Królowej Polski zawiera przecież w sobie elementy pozytywnego, aczkolwiek bardzo wysublimowanego nastawienia wobec „kobiecości” pojmowanej jako pewna wartość. Zderza się on jednak następnie z przeczącą mu praktyczną normą kulturową, w której z punktu widzenia nie tylko teologów, kobieta istnieje jako coś gorszego, innego, budzącego lęk a w skrajnych wypadkach odrazę. W dodatku jest zawsze w mniejszym, czy większym stopniu „własnością” mężczyzny. W ten sposób autentyczne pragnienia kobiety stają się dla kultury, już nie tylko religijnej, klasycznym „tabu”. Granice, które zakreśla się jej ambicjom i pragnieniom zostają w ten sposób wpisane w wielopozomną tkankę kultury, co znajduje swój wyraz nie tylko na lamach tzw. „prasy kobiecej”, ale nawet w pełnym hipokryzji języku oficjalnej propagandy.

Społeczeństwo, które z przesadą i sporną gorliwością nadaje budowanemu szpitalowi miano „Matki-Polki”, pragnie, z punktu widzenia zasygnalizowanego przez mnie powyżej, coś przed tą Matką-Polką ukryć. Przede wszystkim swój lęk przed jej objawieniami i bynajmniej nie tylko martyrologicznymi pragnieniami. Lepiej bowiem wpełznąć kobietę, razem zresztą z całym społeczeństwem uwielbiającym *la vie au cimetiere*, pomiędzy groby przeszłości, niż wsuwać się w pragnienia przyszłości. Bezpieczniej bowiem widzieć Matkę-Polkę, niż Kobiętę, lub nie daj Boże Lolitę, bładając równocześnie obłudnie nad „rozlewającą się falą pornografii”. Hrabia Gombrowicz, patrząc dzisiaj na nas nie tylko, podejrzewam, przewraca się w grobie, lecz mniemam, że rzył z zachwytem nad tym zbiorowym samozakłamaniem.

Niestety, konsekwencją tego samozakłamania, jest także

lęk kobiety

przed ujawnieniem już w skali społecznej swoich prawdziwych pragnień, przeżyć i praw. Obsadzona raz na zawsze przez paternalistyczną, nieskłoną do nicowania swojej podszewki, kulturę wyłącznie w jednej roli, najczęściej świętej mężczyzny historii i współczesności, kobieta polska obawia się bardziej ekspresyjnego wyrażania swoich poglądów na szereg społecznych zagadnień. Pod ciśnieniem martyrologiczno-narodowych schematów wycofuje się na teren prywatności, godzi się podświadomie na swoją drugoplanową rolę, ba, w dodatku postrzega samą siebie jako tę gorszą.

Utwierdza ją w tym mniemaniu a-nachroniczny w obecnej epoce męski szowinizm części posłów i senatorów, umysłowa arogancja obrońców obrotowego Przedmurza, instrumentalne traktowanie kobiety (co ma być cnotą najwyższą) przez partie chrześcijańsko-narodowej prawicy.

Mój Boże, jakże żałośnie brzmią argumenty posłów Łopuszańskich i Niesiołowskich w kontekście neurotycznego upewniania się przez część społeczeństwa oraz elity rządzącej, że już tę Europę posiadliśmy.

Ale dość żartów i „ciszej nad tą trumną!” Pochowała w niej bowiem kultura polska podmiotowość kobiety, jej autentycznie twórczą rolę jaką mogłaby odgrywać w normalnym społeczeństwie. Zamieniła natchnienie poetów w rozsierdzoną, wiecznie zalataną BABĘ, objuczoną siatami. Subtelność, piękno, takt i wdzięk będące solą życia to dobre dla Francuzów. Pooglądamy to sobie w kinie, a na razie: „Witaj Kobietonie!”. Jako poduszkę pod głowę na ostatnią podróż położyła natomiast owa kultura polska slogany o „strażnicze życie domowego”, „ogniska rodzinnego”, „kurze domowej” itd., chociaż sama natrząsała się nieraz z niemieckiego powiedzenia o kobiecie...

...w kuchni, przy dzieciach i w kościele”

Niestety, same kobiety także nie są tu bez winy. W krajach Zachodu, do którego tak żarliwie aspirujemy, z kobiecymi głosami muszą się liczyć kandydaci na mężów stanu. Od Johna Kennedy'ego po Georga Busha, wszyscy organizatorzy kampanii prezydenckich, i nie tylko oni, bo dotyczy to procedur wyborczych każdego

szczebla, musieli uwzględniać ten fakt.

Kobiety w Polsce natomiast zachowują się w skali masowej tak, jakby nie zdawały sobie sprawy z tego, jaką są ogromną, potencjalną siłą. I że nie chodzi tu o małpowanie, w kilkanaście lat po fakcie, zachodniego Women's Lib. Chodzi o wiarę w to, że dzięki zorganizowanym działaniom feministycznego lobby można oddziaływać na polską rzeczywistość. Że kandydat na prezydenta, przewodniczącego partii itd. pod groźbą nieosiągnięcia swojego celu, czyli po prostu nie oddanych na niego głosów, musi uwzględnić w prezentowanych przez siebie zamierzeniach, społeczne oczekiwania tej części społeczeństwa.

Przez ostatnich kilkadziesiąt lat byliśmy wszyscy traktowani przez władzę przedmiotowo. Być może także i stąd bierze się obecnie

„strusia” polityka

kobiecej części społeczeństwa. A przecież kobieta, tak jak i wszyscy inni, ma prawo w pewnych sytuacjach do przyjęcia postawy „obywatelskiego nieposłuszeństwa”, tak jak to rozumiał Henry David Thoreau. Szczególnie w sytuacjach odbierających jej przysługiwą godność.

Myszę, że obrady na temat dramatycznej przecież i tak bardzo ważnej ustawy antyaborcyjnej potoczyłyby się inaczej, gdyby męskiej arogancji przeciwnostawiono nie tylko kilkunastuosobowy, żałośnie przekrzykujący się tłumek, ale porządna akcja w skali całego kraju, zorganizowana przez ruchy feministyczne. I wcale nie myślę tu wyłącznie o kilkudziesięciotysięcznej manifestacji przed Sejmem. Karika wyborcza w takich sytuacjach jest najskuteczniejszą bronią.

Magdalena Nowicka mówi w cytowanym wywiadzie, że „ulożki zwolenników nowej ustawy są na dobrym papierze, kolorowe, ociekające krwią”. W demokratycznym państwie obywatel zajmujący stanowisko przeciwne ma prawo wydać podobne ulotki na białym papierze, opujące za innymi racjami. I przede wszystkim, w takim państwie nie ma instytucji, która byłaby spod krytyki z góry wyłączone.

Na Śląsku, gdzie śmiertelność niemowląt jest największa w Polsce a te, które przychodzą na świat są przeciętnie o 0,3 kg poniżej normy, nie odbyła się jeszcze ani jedna ekologiczna manifestacja, zorganizowana wyłącznie przez kłosa z wyluczonych przez mnie feministycznych ruchów. A powodów do takiej manifestacji byłoby przecież aż nadto.

Myszę, że ten właśnie śląski przykład jest doskonałym przykładem trwałości, wręcz

„siły fatalnej” pewnych przyzwyczajęń

i stereotypów w naszym życiu spo-

łecznym. Ukazuje on dobitnie jak kobieca część tamtej społeczności wyżywa się, pod wpływem ciśnienia tradycji, wpływu na swój własny los. Bo śląski etos ceni najwyżej, oprócz innych autentycznych zalet, jak gospodarność chociażby, społeczną bierność kobiety. Sam fenomen trudno przypisać tylko temu jednemu geografinemu regionowi, to przecież rys naszej tradycjonalistycznej kultury, ale właśnie tam występuje on w stosunkowo jaskrawej formie. Pójście do pracy żony górnik np. odczuwane jest przez nią jako społeczna degradacja. Jeżeli musi to uczynić pod ekonomicznym przymusem, taka reakcja jest zrozumiała, gdyż jest to przykład owej fałszywej emancypacji. Ale w innych sytuacjach?

Istotę owej wolności ujęcia najlepiej Magda Nowicka, mówiąc:

„I paradoksalnie — zostałam feministką po to, żeby utwierdzić się w swoim prawie do bycia matką, do poświęcenia się dzieciom. (...) Nasz feminizm na tym właśnie polega, że przyznaje każdemu człowiekowi, a więc także każdej kobiecie, prawo do robienia tego, co naprawdę pragnie robić. Tak samo do wychowywania ośmiorga dzieci, jak nieposiadania dzieci w ogóle. Chcemy doprowadzić do tego, żeby kobieta mogła realizować się tak, jak chce — bez wyrzutów sumienia, bez presji społecznej”.

Ostatnie wydarzenia w Polsce dowodzą jednak, że kobietom, pod hasłem konserwatywnie rozumianej tradycji, pragnie się ograniczyć

prawo do wolności

tak właśnie rozumianej. Myszę, że nie tylko dla feministek nadchodzi zły czas.

Wolność obyczajowa, jak nas uczy historia, zawsze była związana z wolnością polityczną. Ograniczanie jednej strony tego równania nie pozostawało bez wpływu na drugą. Kwestionowanie wolności obyczajowej było z reguły sygnałem zbliżających się ograniczeń wolności politycznej. I nie trzeba sięgać aż do historii. Wystarczy sobie uświadomić pod tym właśnie kątem istotę przeróżnych współczesnych dyktatur od autorytarnych reżimów Zachodu i Wschodu po Iran Chomeiniego na przykład.

Jednakże od obowiązku obrony tej wolności, pojętej nie tylko w najwęższym, czysto zewnętrznym, obyczajowym i społecznym sensie, lecz postrzeganej przede wszystkim jako szansa wewnętrznej tożsamości i podmiotowości człowieka, nie uwolnił nikt.

Stanisław Stabro

Chaos na rynku książek

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Unikanie książek ambitnych, debiutów, ryzyka i poszukiwań — oto ogólne tendencje. Hurt i detal księgarski utrudniają w równej mierze brak magazynów, jak i znikoma sieć dystrybucji, brak transportu, brak umiejętności handlowych. Na rynku w pierwszym rzędzie pozostała Składnica Księgarska i jej 10 hurtowni terenowych. Rola państwa sprowadza się do ciągłego powtarzania hasła o potrzebie prywatyzacji. Jak pisze Błoński: „Może być tak, że początkowa prywatyzacja obnaży i pogłębi niedostatków dotychczasowej struktury, dopiero w perspektywie stwarzając możliwość korzystniejszych rozwiązań”.

Detal kuleje. Wobec wzrostu czynszów księgarne przemówane są przez spółki pracownicze, których możliwości kapitałowe są bardzo skromne. Zdaniem Błońskiego najbardziej groźne może się to zjawisko okazać dla książki

specjalistycznej, naukowej, muzycznej, technicznej itd. Wyraźne jest w każdym razie jedno, że między paroma dużymi miastami a terenem i resztą kraju różnice nadal będą się pogłębiać. Z kolei sprzedaż wysyłkowa napotyka na barierę wysokiego porta. Ogólnemu zerwanu uległy więzi między wydawnictwem a drukarnią państwową, co wpłynęło na spadek jakości wydania książki. Poniżej europejskiego standardu. Ogólna dezorganizacja kolportażu pogłębia jest bardzo niskim poziomem fachowości księgarzy i sprzedawców, ale odnośnie wrażenie, że akurat to zjawisko nie jest właściwe jedynie naszemu okresowi, tak było w PRL przez całe dziesięciolecie.

Sprawą szczególnie bolesną, wykraczającą poza problemy wydawnicze i handlowe, stał się obecny stan biblioteki publicznej w Polsce. Według danych Błońskiego w pierwszym półroczu 1990 zlikwidowano w 22 województwach 75 filii bi-

bliotecznych oraz 2 722 mniejsze punkty czytelniane. W drugim półroczu uległa likwidacji czterokrotnie większa liczba bibliotek. Znikają one z wielu powodów: zwyczajki czynszu, zmniejszenia funduszu na zakupy nowych książek o 60 proc. Biblioteki zakładowe z kolei, obciążające budżety przedsiębiorstw, zamykane są ze względu na pogarszające się wyniki finansowe. Księgozbiór Cegielskiego zamknięty w Poznaniu liczył 70 000 pozycji. Z kolei bibliotekę naukową na uczelniach z powodu braku dewiz odczuwają ustawiczny spadek dopływu książki zagranicznej. Cierpi na tym uczyony i student.

Zdaniem Błońskiego, kryzys wpłynął na byt pisarza, spadły honoraria, tantiemy w środkach masowego przekazu, radio i TV. Od stwierdzenia trudnego stanu rzeczy do naprawy nie wiedzie droga prosta ani łatwa. Niepewne są nadal losy Funduszu Literaturnego.

Autorzy raportu postulują pilny rozwój czytelnictwa, nadanie państwowym oficynom wydawniczym nowej osobowości prawnej, czy to w formie spółek skarbu państwa

czy spółdzielni nowego typu. Te duże firmy muszą ulec szybkiej reformie lub otrzymać specjalne kredyty na modernizację. Powołać należy rady wydawnicze, stworzyć nowe zależności pomiędzy edytorem państwowym i prywatnym, wyjaśnić reguły mecenatu ze wskazaniem na wydawcę niezależnego, cierpiącego na brak kredytów, wspomagać finansowo debiuty, książki trudne i nieskonklowane, eseje, szczególnie doniosłości przekłady z literatury obcych.

Dotacje nie powinny przekraczać granicy 20 do 30 proc. kosztów, inaczej wywołają skutki negatywne i rozczuliły wydawców. Dotacja winna w takim założeniu chronić przed stratami i wymusić na nich sprawną dystrybucję i handel. Subwencjonowanie książek musi być poddane kontroli odrębnego ciała pod inspekcją Ministerstwa Kultury, czegoś w rodzaju Kasy im. Mianowskiego. Stabilizacja subwencji musi być połączona z należytym uregulowaniem sprawy honorariów autorskich płynących z klasyki, czyli tego, co dawniej nazywaliśmy „funduszem martwej ręki”.

Błoński ostrzega w tej części swoich rozważań przed koncentracją środków prywatnych w rękach państwa, co nazywa reliktem z dawnych czasów. Z innych postulatów

Błońskiego na plan pierwszy wysuwają się „interwencja państwa w reformę hurtu księgarskiego”. Oczekiwanie na to, aż „obecni dystrybutorzy prywatni stworzą sprawne a rentowne przedsiębiorstwa hurtowe, trwać może lat parę”. Z innych pilnych zadań trzeba by udzielić kredytów na unowocześnienie urządzeń informatycznych.

W kwestii usprawnienia detalu księgarskiego Błoński proponuje: zwrócić się do samorządów o udział i inicjatywę, obniżkę czynszów, ułatwienia podatkowe, zniżkę opłat pocztowych za przesyłkę książek w kraju, tym bardziej że tego rodzaju zniżki od niepamiętnych czasów stosowane są na całym świecie.

W sumie raport Błońskiego przynosi nowe, chociaż znane, ale udokumentowane, spostrzeżenia i pełną analizę sytuacji od autora do czytelnika i klienta książki. Nie należy więc zaniedbać nacisków na odpowiednie instytucje kultury i żywić mimo wszystko jakąś umiarkowaną nadzieję, że coś w tej dziedzinie musi się poprawić, oraz stanowczo nalegać na prawne zdefiniowanie zawodowej sytuacji pisarza polskiego.

Bogdan
Wojdowski

Nowe, stare wątpliwości

Stanisław Rodziński

W jednym czasie, w Krakowie mamy teraz możliwość obejrzeć dwie wystawy. W Muzeum Narodowym zadają nam pytanie „Cóż po artyście w czasie marnym?”, w Bunkrze BWA i Pałacu Sztuki — wystawa „Dotyk” — mająca ukazać ikonografię lat osiemdziesiątych w sztuce środowiska krakowskiego.

Wystawę w muzeum, pokazywaną przedtem w warszawskiej Zachęcie — zrobił krakowski malarz TADEUSZ BORUTA. Wystawę pt. „Dotyk” — ZBIGNIEW BAJEK, również artysta krakowski. Mamy więc do czynienia z dwoma spojrzeniami na sztukę lat 80., spojrzeniami krakowskimi. Co to znaczy i czy to coś znaczy, że

któs patrzy na coś z Krakowa?

Uważny spacer po obu wystawach pozwala odpowiedzieć pozytywnie na to pytanie, pozwala więc wyodrębnić rodzaj spojrzenia na świat, w tym na sztukę, mający swoje źródło w chodzeniu po Plantach, słuchaniu hejnału mariackiego, trochę innym liczeniu czasu i trochę innym klasyfikowaniu zjawisk. Co łączy te oba pokazy?

BORUTA z ogromnego dorobku sztuki niezależnej, wystaw przykościelnych, z dorobku plastyki powstałej w latach stanu wojennego wybrał — według osobistych kryteriów i kierując się prywatnymi ocenami — to, co uważa za najbardziej charakterystyczne dla tych lat i dla tej sztuki. Ten swój zamysł wyjaśnił w tekście katalogu, jest też w stanie bronić swojej wystawy i swojego widzenia tamtego świata. Wystawę autor zbudował jak drogę dzielącą ją, ale i łącząc zarazem poszczególne motywy i problemy. BAJEK zrobił podobnie, mając do czynienia z materiałem wyłącznie krakowskim. Inne jest oczywiście zobaczenie problemu, inny scenariusz.

Wystawa krakowska, tzn. „Dotyk”, ma znakomity katalog. Powstał na jej temat tzw. materiał filmowy.

I w katalogu, i w filmie — jednoznacznie posłużono się fotografiami i dokumentami kładącymi niejako odbiorcy łączyć dzieła z wystawy z życiem w czasie stanu wojennego, sugerującymi jednorodność emocjonalną tych dni i tych dzieł. Zadymione ulice, zomowcy, wnętrza mistrzejowickiej świątyni...

W tym momencie myśli obu autorów się rozchodzi. BORUTA jest, czy raczej proponuje widzenie bardziej uniwersalne, dając oczywiście do zrozumienia wieloma dziełami (telewizor z generalem ogłaszającym stan wojenny), kiedy się to dzieło, pozwalając równocześnie obejrzeć obrazy, które chociaż powstawały wtedy, niekoniecznie musiały to pokazywać metodą kawa na lawę. BORUTA „trzyma się” też autorów, którzy brali udział w ruchu wystaw niezależnych i przypomina nawet jakie to były wystawy.

Na „Dotyku” — chociaż w katalogu dusi dym i tupot różnych chłopaków niezapomnianego generała Gruby daje się niemal słyszeć — zaistniał tak zwany rozróżnienie pomiędzy tą zasugerowaną jednoznacznością a zawartością wystawy. I tutaj, wydając mi się, mamy do czynienia z dwiema odmianami krakowskiego widzenia rzeczywistości.

BORUTA z tzw. ogólnopolskiego materiału tworzy osobliwe uniwersum, tworzy całość refleksyjno-dydaktyczną, która pozwoli kiedyś (jeżeli takie kiedyś zaistnieje) uzmysłowić sobie po pierwsze — związek sztuki niezależnej ze sztuką innych lat i epok, po drugie — zorientować się, kto to robił, kiedy i z jakim skutkiem.

BAJEK, mając wokół tylko wieże wawelskie i kościelne kopuły akademii i Plany ergo — mając krakowskie lata osiemdziesiąte — robi wystawę atrakcyjną plastycznie ale dobierając niekiedy autorów w myśl starej zasady: „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”. Niektórymi znakami wystawy — każe nam identyfikować się z bitymi, a niekiedy zachodzimy w głowę skąd się ten i ów chłop wziął tu razem z nami?

BORUTA więc spokojnie dokonuje szeregów syntez, BAJEK — łagodzi i zbliżnia. Jeden wie, że czas miniony wymaga szerszego spojrzenia

drugi stara się powiedzieć, że wszyscy przez to przeszliśmy, starajmy się o tym powiedzieć iść dalej. I w jednym, i w drugim przypadku mamy do czynienia z dystansem. Nie wobec czasów czy przeszłości, nie wobec ludzi. Raczej

z dystansem wobec przyszłości

Wobec dalszego ciągu sztuki i życia.

Otrzymałem niedawno wydawnictwo z miasta będącego stołicą polskiej awangardy w latach kiedy „Polak potrafił”. I w tym piśmie artystycznym krytycy i artyści dokonują podsumowań i syntez. Ale za tzw. „Chiny Ludowe” nie można się zorientować co się stało w Polsce między latami siedemdziesiątymi a datą wydania pisma. Ileż tam mądrych uwag, wywodów i zagranicznych słów! Ale nie wiadomo co w tym mieście dzieło się wtedy, kiedy przestało być tak awangardowo, a jeszcze nie było tak otwarcie i pluralistycznie. A wiem przecież, że dzieło się tam bardzo dużo. Sądzę, że w redakcji nie ma tam nikogo z Krakowa. Nasz człowiek znalazłby sposób, by wszystko powiedzieć, nie sprowokować awantury i przynajmniej nie zapomnieć.

Nie chciałbym, by uwagi te traktowane były jak lekki żart. Sądzę, że Kraków ma w sobie, może dzięki klimatu, może dzięki historii, smiejętność kształtowania ludzkiego myślenia, w tym także myślenia o sztuce. Jest w tym myśleniu galiczyńska rada, by się nie narażać, jest dyktowany doświadczeniem wewnętrzny przymus dokumentowania, przechowywania w pamięci, ale i w szufladach, szafach czy w tapczanie. Jest też, chociaż jak gdyby zanika — umiejętność dostrzegania wartości ponad różnicami.

Wydaje się jednak, że należy pozwolić temu krakowskiemu myśleniu zachować jego stare zalety, należy jednak również korygować je tam, gdzie może zastygnąć, skamienieć.

po prostu zgłupieć.

Czytam w gazecie notatkę-recenzję o wystawie w Muzeum Narodowym: W ramach ekspozycji zapre-

zentowano bogaty wybór prac poświęconych tematyce narodowo - ojczyźniano - patriotycznej z jej różnymi hasłami, kontekstami, symbolami... I dalej: W latach 80. toczono spory o sztukę niezależną wystawianą w „Kruchole”. Dziś te same prace trafiły do muzeum. Czy patrząc z dystansu — nie prezentowały się tam lepiej, stosowniej — skoro nawet ich tematyka krąży wokół wartości religijnych?

Autor owego informacyjnego horrendum nie dość, że używa niewłaściwych słów z kręgu masła maślanego, ale opowiada nam o sporach o sztukę niezależną. Otóż autor nie wie chyba, że sztukę niezależną w latach 80. po prostu tworzone, spory toczono najchętniej np. w Krakowie przy ulicy Mogiłskiej. Już nie komentuję słowa Kruchoła napisanego dużą literą (lepiej się nie narażać), ale dlaczego dzieła te stosowniej mają wyglądać nadal w kościele, a nie w muzeum? Na całym świecie obrazy z różnych krucht wiszą w muzeach, np. we Włoszech, i nikomu to nie przeszkadza. Po co marnować czas i miejsce na wypisywanie dezinformacji i głupot. Po co i tak dalekiemu od sztuki przeciętnemu Polakowi robić wodę z mózgu, myłac i krzywdząc go zarazem?

W ostatnich dniach czy tygodniach slyszalem szereg uwag i refleksji wywołanych zarówno omawianymi tu wystawami, jak i obecną sytuacją w sztuce. Zauważyłem jakby

zanieczenie otaczającą rzeczywistością,

zauważenie tym, co niesie wątpliwość, niepokój, tym co wyobraża i uczestniczy, tym co tkwi w fatalnych polskich czasach, wspomnieniach czy dramatach. Czytałem też radę (na pewno słuszną), by wreszcie ktoś namalował tak jak to kiedyś jeden genialny malarz — gałązkę kwitnącego migdałowca w szklance wody. By się oczyścić, by nie przesadzić.

To oczywiście prawda i rada jest na pewno słuszną. Wspomnianą gałązkę namalował zresztą malarz, który miał wiele kłopotów, ale przedtem i potem namalował też inne obrazy. I te inne i ten z gałązką malował z tych samych powodów. By żyć, by nie pogrzyść się w rozpacz, która i tak dopadła go któregoś dnia.

Gałązki z kwitnącą jabłonią nie można namalować w wyniku czyjejś nawet bardzo

serdecznej i uzasadnionej porady. Do tego trzeba dojść lub trzeba tak gwałtownie tego zapragnąć, że malujemy radosny obraz osaczeni beznadzieją i szarością. Nie starajmy się sztucznie, a tym samym nieprawdźliwie, układać wyobrażeń o tym, jaka powinna być sztuka polska. Nie starajmy się za szybko otrząsać z przeszłości. I tak czas wskaże, co z tego, co oglądamy teraz było prawdziwe, a co udawane, chociaż może nawet na swój sposób wstrząsające.

W telewizyjnym programie edukacyjnym emitowanym niedawno film o europejskim romantyzmie. Film zrealizowany przez Anglików i Francuzów nie napomknął nawet o romantyzmie polskim. Po prostu nie było problemu. Po prostu

inny nasz romantyzm

nie mieścił się w scenariuszu autorów tego filmu. Nie znaczy jednak, że polskiego romantyzmu nie było.

W sztuce — prawda to może stara, ale sprawdzona — niczego nie da się przeskoczyć. Jeżeli razi nas turpizm obu krakowskich wystaw, jeżeli denerwuje, drażni ton niektórych prac, jeżeli mamy dość ikonografii pełnej dramatu, bolesnego skurczu czy smutku — powiedzmy o tym prosto i konkretnie, ale nie wymagajmy, by mitycznym powrotem do wyższości formy nad treścią — zakłamać czy oszukać siebie i innych.

Sztuka to także odchodzenie i także powroty. Odchodzenie musi mieć swój czas, tak samo jak swój czas mają powroty. Nie udawajmy, że mamy dość sztuki, którą zrodził stan wojenny. Nie udawajmy, że oczekujemy od malarzy obrazów pełnych kwiecica, nawet lepiej namalowanego.

Może tylko obie te wystawy są za wcześnie, albo może za późno, może chcemy się odwrócić od szeregu spraw, może nie chcemy, by je nam znowu przypomniano. Może nasze życie — już wolne, ale pełne wielu sprzeczności, może tak szybko rozbita jedność, może tak często ujawniana małość — domaga się sztuki jasnej i porządkującej. Może.

Nie możemy tylko jej od artystów wymagać. Możemy co najwyżej poczekać. Dopominając się nerwowo o „coś nareszcie innego” — domagamy się bowiem nieprawdy.

A w Krakowie warto spokojnie obserwować ewolucję, powolne dojrzewanie wartości. A jak to nowe powoli przyjdzie, niech już potem do nas nie wraca. Także w sztuce.

Poeta — słowo wyjąłowane

Z Krzysztofem Koehlerem rozmawia Adam Michajłow

● Jesteś poetą. Co oznacza dla Ciebie to słowo?

— Mam wrażenie, że jest to obecnie określenie pejoratywne. Wydaje mi się, że zakres zmian, stopień rozwoju świadomości i kultury (rozwoju niekoniecznie tożsamości z progresywizmem) implikuje dewaluację niektórych określeń. I chyba dzisiaj właśnie jesteśmy świadkami procesu zamierania pewnych znaczeń albo przynajmniej ich wyjąłowania się. Mam tu na myśli takie określenia jak: intelektualista, literat czy poeta. Mniej, oczywiście, pisarz, bo to określenie nie jest tak nacechowane jak „poeta”. Pisarz — to po prostu zawód; poeta — to funkcja społeczna, przynajmniej w polskiej kulturze. Trzeba się przyzwyczaić do myśli, że literatura to weale nie najbardziej duchowa działalność człowieka.

● Czy uważasz, że w związku z tym zmienia się także znaczenie słowa „poetę”?

— Wierzę w sens poezji. W jej ontologiczną konieczność. I to właśnie w wierszu. Poezja jest przede wszystkim w wierszu.

● Poetę to pewna konieczność, właściwie weale nie jest, ale przede wszystkim — bytowa. Wiersz, w którym jest poezja, być może. Tak samo, zupełnie tak samo jak ja, noga stołu czy dąb przed oknem.

● Jakie operacje poznawcze prowadzą do takiego pojmowania sensu poezji?

— To jest kwestia odczucia na poziomie języka, kiedy układa się wiersz i kiedy w pewnym momencie jego tworzenia wie się, że jest on nieprzypadkowy. *Es muss sein*. To zresztą dotyczy w ogóle sztuki. Parę razy byłem bliski takiej konstatacji. Wiem, że jest to proces. Dlatego nie martwił mnie porażki. Świadomość, że są takie wiersze, zupełnie mi wystarczą. Wiersze są konieczne, bo ich nie może nie być, tak jak i mnie nie może nie być, skoro już jestem. Stąd nie przejmują mnie awangardowe czy jakiegokolwiek inne rozgrywki z literaturą. To jest zupełnie inny poziom. Dla mnie — strata czasu.

● Skoro nie zgadzasz się z twierdzeniem, że literatura jest obecnie sama dla siebie najważniejszym tematem, to co nim jest według Ciebie?

— Taki temat jest w zasadzie tylko jeden. Kto go potrafi podjąć, kto się potrafi nim stać — jest artystą. To oczywiście RUCH, STAWANIE SIĘ, ale nie giniecie. To drugie jest łzawe i nieuchronnie obsuwa się w stronę rozpacz czy katastrofizm.

● Co rozumiesz w tym przypadku przez „ruch”?

— Ruch sam w sobie. Przemieszczanie się w czasie, mniej w przestrzeni. W sensie czasowo-przestrzennym można mówić o realizmie. Rzeczywistość ma przecież taką a nie inną strukturę.

● Czy mógłbyś dać przykład utworu, który Twoim zdaniem podjeżdżając właśnie ten temat?

— Nie mówię tego gołoślownie. Jest parę przykładów: Orfeusz, Eurydyka, Hermes. Może Sępólna R. M. Rilkęgo. To był największy poeta w dziejach. Moim zdaniem.

● A inne ważne tematy?

— Nie ma innych tematów. To jest temat ŚWIATA. Wiersz, który nie jest stawianiem się, jest niekonieczny. Tyle nieudanych wierszy to ofiara, jaką trzeba złożyć dla tego jednego, dwóch. Można zresztą nie pisać wierszy. Jak już mówię, literatura nie jest najbardziej duchową aktywnością człowieka.

● Jakie znaczenie ma dla Ciebie talent? A może jest to jedno z tych zuiżytych słów?

— Nie. Talent jest tym, co umożliwia służbę światu. Służy poruszaniu SŁÓW. Jest szczelina, przez którą wsacza się cud czyli NIEMOŻLIWE. Szczelina, przez którą ruszają z miejsca kamienie, kwitną jabłonie, spadają wodospady.

● Urodziłeś się w Częstochowie, jakiś czas mieszkałeś na Śląsku, od kilku lat przebywasz i działasz w Krakowie. Jak z perspektywy swoich perygrynacji widzisz Kraków?

— Kraków jest we mnie. Osiadł gdzieś w strukturze mojej świadomości. Nie jest to istotne, gdzie. Istotne jest to, że jest on we mnie. Całe wcześniejsze, przedkrakowskie życie dążyłem do niego. Mój klasycyzm musiał znaleźć wyraz zewnętrzny, w kamieniu lub na płótnie. Kraków mnie dusi i ogranicza swoją zamkniętą strukturą architektoniczną. Ale to ograniczenie jest zbawienne. Tak samo zresztą jak i ograniczenia wiersza.

● Możesz powiedzieć coś o swoim życiu prywatnym?

— Mam żonę, córkę, nie mam mieszkania. Niekiedy bywam szczęśliwy. Nie nadzwyczajnego. Poezja to rodzaj ludzkiej aktywności. Takiej samej, jak każda inna działalność człowieka. Podchodzi do niej jak do miejsca w rzeczywistości. To nie kwestia, czy ją lubię, czy nie. Robię swoje, to, co do mnie należy. Jeżeli okaże się, że pomyliłem się — zrezygnuję. Umieję też robić inne rzeczy.

INNA LITERATURA W SZKOLE

Józef Wróbel

Cale pokolenia narzekają na licealny podręcznik Matuszewskiego, z którego korzystając miało się poznawać literaturę współczesną. Można się było z niego trochę nauczyć, ale jeszcze więcej nie nauczyć. Stąd w środowiskach uczniowskich, nauczycielskich i akademickich oczekiwania na zupełnie nowe opracowanie albo chociaż podręcznik alternatywny. Zaspokojenie tych tęsknot miało przynieść antologia w opracowaniu Bożeny Chrzastowskiej *Literatura współczesna „zle obecna” w szkole*. Przedmowa precyzuje: literatura „zle obecna” to jest emigracyjna, ukazująca problematykę sowieckich łagrów, publikowana w drugim obiegu, pozostająca w kręgu etyki i symboliki chrześcijańskiej. Część krytycznoliteracka proponuje natomiast inną, pogłębiającą, prawdziwszą interpretację utworów dotychczas „zle w szkole czytanych”.

W *Przedmowie* niepokoi tylko ostatni akapit, w którym autorka sygnalizuje możliwość pojawienia się błędów, uchybień i usterek, które wyniknąć mogły ze zbyt pośpiesznego przygotowania książki. Podobnym usprawiedliwieniem i uprzedzeniem ewentualnych zarzutów kończy się instruktywny zresztą szkic wprowadzający Ewy Wiegandowej. Podkreśla skomplikowanie sytuacji literatury powojennej, której niedowartościowanie, przewartościowanie i nadwartościowanie utrudniało obiektywną ocenę dzieła i prosi o wyrozumiałość: „Wyrazem tej jeszcze nie przewyżnionej sytuacji jest także niniejsza antologia, z konieczności nieobiektywna”.

Można by przyjąć te ekskuzje i zastosować taryfę ulgową dla redakcyjnego niechlujstwa i niesumienności historycznoliterackiej, gdyby książka ta ukazała się dziesięć lat wcześniej, pod wielkim ciś-

niem historii. Tymczasem podręcznik ten miał co najmniej dziesięć lat na dojrzenie do wyrazistej ideowej i dydaktycznej koncepcji.

W każdej antologii sprawą zawsze sporną jest dobór nazwisk i tekstów. Nie będę drobiazgowy, *de gustibus non est disputandum*, ale z drugiej strony jest to podręcznik, który wydany w masowym nakładzie, wzmocniony przez proces dydaktyczny ma właśnie gust kształtować. W krajowych wydaniach zbiorowych Kazimierza Wierzyńskiego nie przemknął się nigdy żaden wiersz z *Czarnego poloneza*. Siła cenzury były gęste, gdyby to jednak była cenzura nie polityczna a artystyczna efekt byłby ten sam. Jest to po prostu zła publicystyka poetycka i to sprzed dwudziestu paru lat. Trzeba uznać za normalne, że „nawet tak znakomity Homer czasem się zdrzemnie” i nie zapewniać czytelnika, że „od debiutu 1913 r. do ostatniego zbioru poezji (1969) był to wybitny poeta, eseista, prozaik”. Chrzastowska proponuje trzy teksty tylko z tego tomu. Jeśli już trzeba było uderzyć w polityczno-patriotyczny ton, to lepiej sięgnąć po prawdziwie dramatyczny wiersz *Na zajęcie Warszawę* przez Rosjan czy inne z *Krzyży i mieczy*. Józef Baran (jakże on „zle obecny”, i po co?) ma tu więcej wierszy niż Herbert, Zagajewskiego zaś nie ma wcale. Jest Twardowski, Wojtyła, Obertyńska, Brandstaetter, Kamińska, i z wierszami religijnymi Baliński, Łobodowski — jakby to była antologia liryki religijnej albo zgoła modlitewnik. Z poezji obcej tylko rosyjska: Achmatowa, Brodski, Mandelstam i Okudźawa; dlaczego nie z angielskiej, która jest chlebem powszednim dla Miłosza i Barańczaka i tak jak niegdyś francuska wywiera ogromny wpływ na lirykę polską.

Literatura faktu, dziennik, pamiętnik to dział skomponowany przemysłnie i niewątpliwie inspirujący młodego czytelnika. Ale... Tyrmand z *Dziennikiem* 1954

sacytowany według pierwszego wydania krajowego i dalej naznaczony zemstą cenzury, już za grobu: dwa kwadratowe nawiasy i *Ustawa*. Jeśli, o co antologicy nie podejrzewam, chodziło o ukazanie sposobu działania cenzury, to wykreślone przez nią fragmenty należało zacytować w przypisie. Miejmy nadzieję, że jest to ostatnia książka, w której straszy ten upiór trupa nie przebitego widać oskórowym kołkiem.

W wyborze tekstów pomocniczych filozofia i eseistyka z nazwiskami: Fromma, Lévinasa, Mouniera, Simone Weil. Bardzo ambitne, ale bez przewodnika, bez osadzenia w kontekście myśli europejskiej może to być za bardzo skomplikowane nie tylko dla ucznia, ale i dla nauczyciela. Ostatni dział przynosi niekonwencjonalne, przynajmniej w deklarowanych intencjach interpretacje poezji, prozy i dramatu. O poezji prawie wyłącznie Barańczak, autor wyboru wiele się nie fatygował. Sięgnął po *Przed i po* i poszukiwał. Ja Barańczaka bardzo cenię, ale byli też inni krytycy i niekoniecznie skompromitowani i może bardziej interesująco wyszedłby taki wielogłos. Cały ten rozdział jest głównie sieczką, z cennych, obszernych szkiców zostało tutaj czasem dwa akapity, które w gruncie rzeczy nic nie znaczą.

W dodatku do tomu *Noty o autorach*, każda pisana według innej zasady czyli głównie bez zasad. Do najbardziej udatnych pod tym względem należy biogram Wierzyńskiego, bez tytułu jednego chociażby dzieła, ze zbiorem faktów z życia zupełnie przypadkowym. Autorzy nie zauważyli śmierci Balińskiego, choć minęło już od niej siedem lat, i Łobodowskiego. Przy niektórych datach urodzin i śmierci piszą miejsce, przy innych nie. W takim pomieszczeniu dopominać się o prawdziwą datę publikacji *Widokówki z tego świata* Barańczaka, czyli 1988 a nie 1990, staje się drobiazgowością. Tak samo jak pletnowanie styliz-

stycznego uchybienia, które nazywa *Dziennik poranny* „proroczym zapisem historycznych wydarzeń grudniowych w Gdańsku”.

Panorama literatury na obczyźnie* Krzysztofa Dybciaka ma wyraźnie określony adres w podtytule: *Opracowanie przeznaczone dla uczniów szkół średnich*. Nie wiadomo, dlaczego autor poskapał tytułowi epitetu „polskiej”. Dybciak proponuje w swoim popularnym ujęciu uporządkowanie dzieł literatury emigracyjnej według krajów i kontynentów, na których powstawała. Taki sposób jej opisu praktykowany był dotychczas przez badaczy w odniesieniu do pojedynczych krajów. Jest to być może propozycja oryginalna, ale w wykonaniu autora metodologicznie niejasna a dydaktycznie chyblona. Jeśli bowiem przyjęją metodę geografii literackiej, to skupić by się należało na strukturach życia literackiego: wydawnictwach, czasopiśmiennictwie, związkach pisarzy itp. Tymczasem Dybciak interesuje głównie autor i jego dzieło, nb. zawsze obszernie cytowane. Z tak przyjętego układu wynika mnóstwo nieporozumień i natłok pustych nazwisk. Tak więc Wiktoria Kraśniewska (Barbara Skarga) wymieniona została w rozdziale o ZSRR, choć swoją wspomnieniową książkę *Po wyzwoleniu* (1944—1956) pisała już w kraju a wydała w Paryżu. Tadeusz Sułkowski wymieniony jest jako poeta włączony do antologii *Przyplutwo*, ale nie jako autor znaczących przecież tomów *Dom złoty* i *Tarcza*; brakuje np. Pietrkiewicza. Tego typu zastrzeżenia można by mnożyć. Największą jednak wadą tej książki jest jej układ: alfabetyczny, w wyniku czego ZSRR występuje na samym końcu, choć jako miejsce powstania literatury na obczyźnie był pierwszy, wraz z nim Rumunia, Siedmiogród Węgry aż do obecnego układu centrów kulturotwórczych na emigracji. Jeśli pisało się książkę popularną, dla czy-

teńnika licealnego, należało skupić się na ukazaniu procesu historycznego tworzenia polskiej emigracji i towarzyszącej mu literatury, wyróżnić i przybliżyć dokładniejszym opisem kilkanaście, może dwadzieścia kilka sylwetek, a nie dążyć do złudnej kompletności złożonej z setek nazwisk a i tak nie wszystkich.

Z tego wnioskuje, że uczniowie nie powinni stać z książek spreparowanych *ad usum Delphini*, których autorowie traktują ich jako rodzaj pośledniejszego czytelnika. *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej* Jana Zielińskiego jest książką dla wszystkich. Jej dwa poprzednie wydania sygnowane były nazwiskiem Jana Kowalskiego, obecne trzecie jest popławione i rozszerzone. Tom przynosi 109 sylwetek twórców i charakterystykę kilku ważniejszych oficyn wydawniczych. Dorobek pisarzy trafnie charakteryzuje jedno i dwustronicowe omówienia, do tego dołączona została podstawowa bibliografia podmiotowa i przedmiotowa. Z arbitralnymi założeniami wstępnymi można by czasem dyskutować: czy więc Zieliński słusznie wyeliminował pisarzy tworzących jakiś czas na emigracji, a później powracających do kraju. Można by się zastanawiać, czy słusznie pominął Idę Fink, która w moim przekonaniu dwoma niewielkimi książeczkami zapewniła sobie już nie kwestionowane miejsce w literaturze polskiej. Jej casus to ponadto interesujący problem dla teoretyków „emigracyjności” literatury. Są to jednak pytania, które trzeba będzie kiedyś postawić badaczom podejmującym trud poznawania wielkiego obszaru polskiej kultury. Dziś czytelnikowi zainteresowanemu tym problemem, uczniowi i nauczycielowi *Leksykon* z powodzeniem wystarczy.

Niech się tylko strzegą nowej generacji Pimków.

Literatura współczesna „nieobecna” w szkole. Antologia tekstów literackich i pomocniczych dla klas maturalnych. Opracowała BOŻENA CHRZASTOWSKA, Wrocław 1990.

KRYSZTOF DYBCIAK: *Panorama literatury na obczyźnie.* Opracowanie przeznaczone dla uczniów szkół średnich, Kraków 1990.

JAN ZIELIŃSKI: *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej*, Lublin (brw)

Los humanisty

Jerzy Lohman

W literaturze, od młodzieżowej i wspomnieniowej po najczłowieczniejszą, są tysiące opisów różnych lekcji. Rzadko jednak się zdarza, by taka relacja stanowiła samostanny utwór literacki. Czymże więc zasłużyła na własną książeczkę lekcja greki w niższej klasie monachijskiego gimnazjum, odbyta w 1928 r.? Alfred Andersch (1914—1980), jeden z ciekawszych współczesnych pisarzy niemieckich, napisał m. in. serię autobiograficznych opowiadań dotyczących okresu swej młodości. Wśród nich „*Ojciec mordercy*”, udostępniony właśnie polskiemu czytelnikowi zajmuje miejsce szczególne —

mówi bowiem o dramatycznym momencie w życiu autora (w tym przypadku w życiu jego porte parole): o usunięciu ze szkoły z racji marnych wyników w grece. Zdarzenie to pozwala pisarzowi na sugestywne, choć bardzo powściągliwe ukazanie nierównego „pojedynku”, jaki stoczyć musiał wrażliwy, bystro obserwujący, acz leniwy i niezbyt zdolny czternastolatek, ze swym dyrektorem, świetnym filologiem, erudyta, doświadczonym nauczycielem inteligentnym, ironicznym i bezwzględny doktorem Himmlerem. Rodzonym ojcem późniejszego mordercy milionów.

Krytyczny obraz tradycyjnej niemieckiej dyscypliny szkolnej nie prowadzi jednak autora do prostej i wzruszającej opowieści o gnębieniu dziecka przez okrutnego belfra. Wprawdzie trudno powiedzieć, by dyrektor Himmler budził sympatię czytelnika lecz Anderschowi udało się ukazać postać fascynującą. Mimo wszystko imponuje ten reprezentant wielkiej tradycji niemieckiej XIX-wiecznej filologii, niezłomny mieszczański humanista, któremu w równym stopniu wstrętne są: komunizm, nazistowskie nowinki i arystokratyczny snobizm. Nad opowiadaniem „*Ojciec mordercy*” unosi się melancholia nieuchronnego końca wielkiej formacji kulturalnej. I świadomość tego co po niej nastąpi.

Andersch nie antycypuje tej przyszłości. W opowiadaniu nie wykracza poza czasowe ramy lekcji. O synu dyrektora Himmlera czytelnik dowiadywa się tyle, ile wiedzieli wówczas uczniowie monachijskiego gimnazjum — że był nazistą i że z tego powodu ojciec z nim zerwał. Obrazu znakomitego filologa w oczach czytelnika nie zniekształca

wiedza o jego synu, późniejszym szefie SS i gestapo.

W postawie Andersch pisze: *Czy staremu Himmlerowi było przeznaczone, że zostanie ojcem młodego? Czy z takiego ojca w myśl „naturalnej konieczności” tj. według rozumiałych psychologicznych reguł, zgodnie z prawami walki pomiędzy następującymi po sobie pokoleniami i jako paradoksalna konsekwencja tradycji rodzinnej, musiał się wywieść taki syn? Czy obaj, ojciec i syn, byli produktami pewnego środowiska*

i pewnej sytuacji politycznej, czy też, dokładnie na odwrót, ofiarami nieodwracalnego, jak wiadomo, losu — u nas, Niemców, najbardziej ulubionego ze wszystkich pojęć?

Brak odpowiedzi na te pytania pozostanie na zawsze jedną z wielkich porażek humanizmu.

ALFRED ANDERSCH: *Ojciec mordercy.* Z niemieckiego przełożył Ryszard Wojnański. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1991, str. 94.

NOWOŚĆ WYDAWNICTWA ZNAK

Eugeniusz Kwiatkowski

W TAKIM ŻYLIŚMY ŚWIECIE

Sylwetki polityków okresu międzywojennego, z którymi autor, sam polityk, minister przemysłu, późniejszy wicepremier i minister skarbu, jedna z czołowych postaci XX-lecia, miał okazję stykać się bezpośrednio i wyrobić sobie o nich sąd niezależny, często niestereotypowy, zawsze bardzo wyważony i sprawiedliwy. Wśród bohaterów książki m. in. Piłsudski, Beck, Sikorski, a także Churchill, Hitler, Stalin...
str. 196, broszura cena detal. 14 000 zł.

Milczące sejfy Szwajcarii (II)

Jean Ziegler

Z głośnej na Zachodzie książki Zieglera „Narkodolary” drukujemy fragmenty, pokazujące jak „pierze” się w Szwajcarii tzw. brudne, zarobione na handlu narkotykami pieniądze. Całość tłumaczył Stanisław Mędak.

SOBOTA, 26 SIERPNIA 1989: ciepła noc zapada nad Arche de la Defense i nad zgrupowanymi przed nią 15 tysiącami gości z całego świata. Zmierzch dziurawia trójkolorowe flagi i olbrzymie latarnie. Francja obchodzi dwusetlecie proklamowania praw człowieka i obywatela.

Na trybunę wchodzi Francois Mitterrand: „Można uważać, że Deklaracja z 1798 roku zmieniła bieg historii. Była zwiastunem nowych czasów bez względu na późniejsze jej odchylenia, próby zdławienia czy niedociągnięcia. Pozostanie niezmienna, wryta w pamięć każdego obywatela. Przesłanie, które niesie ze sobą, nie straciło nic ze swej aktualności. Przeciwnie, jest ono ciągnącą inspiracją dla wielu konwencji i układów międzynarodowych”.

Niespodziewanie orator przerywa swój liryczny fresk historyczny. Przedstawia szczegółową, prawie monotonną listę niebezpieczeństw, które zagrażają dzisiaj godności człowieka. „Niszczycielskie działania zbrodniarzy zajmujących się handlem narkotykami przegradzają się w siłę stanowiącą konkurencję dla poszczególnych państw państwowych. Owa zbrodnicza siła organizuje się w międzynarodowe instytucje kryminalne. W obliczu ich istnienia zorganizujemy ochronę każdej bezbronnej istoty ludzkiej uzależnionej od narkotyków. Bądźmy solidarni z tymi, którzy są w pierwszej linii (...) Trzeba się odważyć, trzeba myśleć i powtarzać, że żaden kompromis nie jest możliwy ani w stosunku do pasma szerzącej się korupcji, ani w stosunku do agentów śmierci”.

Walka z handlarzami narkotyków

CARACAS, 10 PAŹDZIERNIKA 1989 ROKU: Francois Mitterrand konkretyzuje międzynarodową pozycję Francji w walce z handlem narkotykami. Francja podpisuje z Wenezuelą umowę o współpracy w dziedzinie walki z handlarzami narkotyków. Umowa ta przewiduje wymianę informacji między tymi dwoma państwami, dotyczącą nielegalnego handlu narkotykami i „wybielania” brudnych pieniędzy pochodzących z tegoż handlu. Francja zapewnia pomoc techniczną w wyszkoleniu specjalistów do walki z nielegalnym handlem narkotykami i ochrony granic państwowych. W Caracas Francuzi otworzą swoją misję, w której skład wchodzić będą policjanci wyszkoleni w walce z handlarzami narkotyków, jak również ze współpracującymi z nimi bankierami. W dwa dni później Francois Mitterrand podpisuje w Quito kontrakt z Ekwadorem. Francja dostarczy Ekwadorowi sprzęt radarowy, najnowsze systemy komunikacyjne i identyfikujące, które pozwolą na rozpoznawanie samolotów transportujących narkotyki, coraz częściej naruszających przestrzeń powietrzną Ekwadoru.

PIĄTEK, 13 PAŹDZIERNIKA: Mitterrand udaje się do Bogoty, drżąc od wybuchów bomb i eksplodujących samochodów. Przywozi ze sobą osobiste poparcie, jak również poparcie Francji i EWG dla prezydenta Kolumbii Virgilio Barco w jego świętej wojnie wypowiedzianej handlarzom narkotyków.

„Wyprane” pieniądze

„Wyprane” i zainwestowane zgodnie z wszelkimi technikami, w których wykorzystano dokładną znajomość obiegu finansowego i systemów fiskalnych we wszystkich krajach świata, zyski zdobyte w procesie nielegalnego handlu narkotykami stanowią dziś fantastyczny rynek kapitałowy, którego wielkość określa się kwotą od 300 do 500 miliardów dolarów w ciągu roku. Niektórzy renowani eksperci, w tym również sekretarz generalny Interpolu M. Kendall, skłaniają się ku tej drugiej liczbie. Suma ta odpowiada rocznym wydatkom Ministerstwa Obrony Narodowej USA. Jest również ekwiwalentem rocznych wydatków wszystkich krajów zachodnich na zakup ropy naftowej. Pieniądze pochodzące z nielegalnego handlu narkotykami, rodząca się przemoc, pojawianie się szantażu i korupcji zagrażają gangreną demokracji krajów zachodnich.

15 milionów narkomanów

AMERYKAŃSKIE STATYSTYKI szacują liczbę uzależnionych od kokainy w samych tylko Stanach Zjednoczonych na 15 milionów. Według tych samych źródeł należy dorzucić jeszcze 1,5 miliona uzależnionych od heroiny na ziemi amerykańskiej. Nie ma niestety żadnych danych statystycznych dotyczących zapotrzebowania na heroinę w Europie. Wzrost podaży kokainy w ciągu ostatnich trzech lat jest bulwersujący. Międzyministerialna misja francuska zajmująca się zwalczaniem narkomanii szacuje na ponad 700 000 liczbę uzależnionych od heroiny w Europie.

Genezę niezwykłych fortun zdobywanych handlem narkotykami można zrozumieć na przykładzie ostatnich obliczeń waszyngtońskiego Drug Enforcement Administration (DEA) dotyczących kokainy kolumbijskiej.

Wiosną 1989 roku na ulicach Nowego Jorku jeden kilogram czterdziestopięcioprocentowej kokainy sprzedawanej narkomanom i pośrednikom kosztował od 80 000 do 120 000 dolarów. Podstawowym surowcem do produkcji kokainy jest tak zwana pasta, pochodząca najczęściej z Peru, Boliwii i w mniejszych ilościach z Amazonii kolumbijskiej. Kolumbia jest głównym ośrodkiem labora-

toryjnego przetwarzania pasty w hydrochloran kokainowy. Produkcja jednego kilograma pasty wymaga dużej ilości liści krzewu kokainowego. Właściciele z Kolumbii, Boliwii i Peru, zajmujący się uprawą tegoż krzewu, otrzymują jedynie od 150 do 200 dolarów za ilość liści potrzebną do wyprodukowania jednego kilograma pasty.

Gdzie zatem realizują się te astronomiczne zyski? Póhurtownik za dostarczenie narkotyków nowojorskim handlarzom otrzymuje prowizję w wysokości od 20 000 do 40 000 dolarów. Działa on często na terenie, który jest pod ciągłą obserwacją policji i przez to może ściągnąć na siebie najcięższą karę. Jest zatem opłacany od wielkości ponoszonego ryzyka.

Hurtownik eksportujący narkotyki z Kolumbii (Panamy, Boliwii, Peru) do USA za jeden kilogram dostarczony odbiorcy otrzymuje od 4200 do 6000 dolarów na czysto. Natomiast laboratorium, które fabrykuje narkotyki i z którego są one dostarczane hurtownikom eksporterom, sprzedaje jeden kilogram za kwotę oscylującą między 2000 a 3200 dolarów.

Kartel handlarzy narkotyków

Wszystkie poszczególne fazy tych wielkich operacji, to znaczy: produkcja, rafinacja, obrót handlowy kokainą, jak również wszystkie etapy recykliczacji bankowej wpływów finansowych realizowanych przez pośredników są w całości kontrolowane przez szefów jednej i tej samej organizacji. Ich zyski są olbrzymie. Powróćmy do wspomnianej już operacji. Za jeden kilogram narkotyków sprzedanych w Nowym Jorku „protektorzy” Inkasują w najgorszym wypadku kwotę w wysokości 53 650 dolarów. A przecież sprzedają ich każdego roku w samym tylko Nowym Jorku setki kilogramów.

Według amerykańskiej DEA, fortuna każdego z pięciu głównych szefów kartelu Medellin szacowana jest na nie mniej niż 2 miliardy dolarów. Weźmy pod uwagę przykład Pablo Escobara Gaviria. Jeśli Escobar zamieniłby cały swój majątek zdeponowany w skarbcu amerykańskim na zwykłe papiery wartościowe, nawet na niewielki procent mógłby osiągnąć w 1988 roku zysk netto odpowiadający w przybliżeniu rocznym dochodom firmy Thomson (tzn. około 300 milionów dolarów).

Podejrzana Szwajcaria

KONFEDERACJA SZWAJCARSKA jest aktualnie główną turbiną przetwarzającą miliardy dolarów pochodzących z nielegalnego handlu narkotykami. Swą uprzywilejowaną pozycję zawdzięcza kilku szczególnym powodom:

1. W ciągu ośmiu lat, od 1981 do 1988 roku, jedną z podstawowych linii polityki zewnętrznej (i wewnętrznej) administracji Ronalda Reagana była totalna wojna wypowiedziana handlarzom heroiny, kokainy i innych mocnych narkotyków. Najbardziej znane rynki finansowe Panamy, Bermudów, Curacao, Człamanu, gdzie dokonywano procesu „wybielania” brudnego szmalu, pochodzącego z nielegalnego handlu narkotykami, zostały poddane kontroli. Ojcowie chrześni największych siatek przemysłowych przeniesli się do Szwajcarii.

2. Szwajcaria, która zajmuje czołową pozycję na światowym rynku złota, a drugą na rynku walutowym, posiada znakomicie funkcjonujący system bankowy. Banki szwajcarskie mają swoje ekspozytury na całym świecie. Przysłowio- we już stały się następujące określenia metod pracy tych banków: dyskrecja, sprawność, całkowita amoralność i gorliwość.

3. Przepis federalny dotyczący banków i kas oszczędnościowych w artykule 47 wyraźnie określa, że „Każdy pracownik banku zajmujący odpowiedzialne stanowisko, w przypadku kiedy wyjawia jeden z sekretów zawodowych jemu powierzonych, wynikających z pełnionej przez niego funkcji i z miejsca pracy, jak również ten, który namawiały innych do sprzeniewierzenia sekretu zawodowego, będzie skazany na karę więzienia w wymiarze do sześciu miesięcy lub też będzie ukarany grzywną w wysokości do 50 000 franków. Jeśli wina delikwenta wynika z jego niedbalstwa, wymierzona kara sięgnie 30 000 franków. Pogwałcenie sekretu zawodowego jest karalne nawet po wygaśnięciu umowy o pracę, jak również wtedy, kiedy posiadający tajemnicę zawodową nie wykonuje już swego zawodu”.

Tajemnica bankowa

TAJEMNICA BANKOWA JEST NAJWYŻSZYM PRAWEM TEGO KRAJU. W piwnicach Ali Baby wielkich, prywatnych banków międzynarodowych, mających swe siedziby w Zurychu, Genewie, Bazylei, Lugano, pieniądze pochodzące z nielegalnego handlu narkotykami „znikają” na zawsze. Tu właśnie zmieniają swoją tożsamość, bez pozostawienia najmniejszego śladu. Pojawiają się na nowo „wyprane”, „czyste”, bez skazy, poza wszelkim podejrzeniem, na międzynarodowych giełdach nieruchomości Paryża i Nowego Jorku. Obraca się nimi również na giełdach w Tokio, w Londynie i w Chicago. Pojawiają się one w bilansach rocznych szanowanych nowojorskich przedsiębiorstw w formie długoterminowych kredytów.

W Stanach Zjednoczonych każdy klient, który zjawia się przed okienkiem bankowym z kwotą wyższą niż 10 000 dolarów, jest zobowiązany udokumentować jej pochodzenie. Szwajcaria, na szczęście, nie zna tego rodzaju małostkowości! Jest krajem wolnej wymiany pieniądza. Pieniądze, nawet te najbardziej podejrzane, mogą być wwożone do Szwajcarii i wywożone bez żadnego ograniczenia pod każdą istniejącą postacią (w gotówce, w czekach, w dewizach całego świata). Na przejściach granicznych żaden celnik nie zada na ten temat najmniejszego pytania.

5. W przeciwieństwie do wszystkich cywilizowanych krajów świata Szwajcaria — odwieczna popieczniczka pieniędzy pochodzących z najbardziej podejrzanych źródeł — nie zna żadnego prawa, które zabraniałoby wwozu, wywozu, „wybielania”, ponownego inwestowania kapitałów pochodzących z nielegalnego handlu narkotykami. Przegląd zatytułowany „Economie Magazine” skromnie konstatuje: „Banki szwajcarskie dokonują recykliczacji narkodolarów bez jakiegokolwiek oporów moralnych. Business is business”.

Jednakże trzeba sprecyzować, że w wyniku skandali z lat 1988/1989 oraz pod presją Stanów Zjednoczonych, Francji i Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej Zgromadzenie Narodowe Szwajcarii przedłożyło parlamentowi do rozpatrzenia projekt przepisów prawnych, dotyczących procesu „wybielania” pieniędzy pochodzących z nielegalnego handlu narkotykami.

Wkrótce jednak przekonamy się, że proponowane przepisy prawne są na tyle mgliste i mało sprecyzowane, iż nie będą w stanie przeszkodzić w czymkolwiek agentom śmierci. (C.D.N.)

Camera obscura

„Póki co”, o którym „Camera” już pisała, szerzy się niebezpiecznie. Rusycyzm ten (poka czo) pojawił się nawet pod piórem specjalistki od dydaktyki języka i literatury polskiej Bożeny Chrzastowskiej w „Tygodniku Literackim” (nr 7). (HM)

ment Zjazdu w Szczecinie”. Szczepański poświęca co prawda zjazdowi jedną stronę w swej książce, ale napisana ona została — jak wiadomo — w czterdziestki lat później i traktuje o czym innym. (HM)

się pozbyć znakomity reżyser lecz „kulis”. (HM)

Jerzy Markuszewski („Gazeta Wyborcza” nr 45) powiada, że „kto nie jest z nami, ten przeciwko nam” to „stara bolszewicka zasada”. Zapewne, tylko że przed bolszewikami ktoś taką zasadę już wcześniej formułował; proszę zajrzeć do Ewangelii według św. Mateusza, 12, 30. (HM)

Zbigniew Florczak („Nowe Książki” nr 1) pisze, że Meyerhold planował zbudowanie „sceny bez kulisów”. Nie „kulisów” jednak chciał

Upowszechnia się gdzieś teza, że jesteśmy

„homo sovieticus”. Ma ona wiele wad, ale jedną generalną zaletę. Zwykli ludzie chodzą otwierając dusze do psychoanalizy, których u nas akurat brakuje. „Homo sovieticus” winien chyba chodzić do sowietologa? Tych mamy akurat sporo... (ter)

W artykule J. Lohmana „Smer z kąta” (DL nr 14)

chochlik zmienił sens fragmentu mówiącego o zawrotności współczesnej prasy kulturalnej. Zdanie: „...a w prasie nie na ten temat, problem nie istnieje, wciąż tylko etos inteligencji, dylematy twórców. Miłosza wspomnianie totalitarnych oprymacji” powinno brzmieć: „...wciąż tylko etos inteligencji, dylematy twórców, Miłosza i wspomnianie totalitarnych oprymacji”. (jl)

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

Wiersz Iłakowiczówny

Wśród pamiątek po Kazimierze Iłakowiczównie, przechowywanych w Muzeum Literatury znajdował się malowany na porcelanie, miniaturowy portret przedstawiający przystojnego blondyna. Nie wiadomo kim on był. Wiadomo tylko, że — choć mężczyzna ów w niczym nie przypomina Marszałka — portret ten był szczególnie bliski poetce.

Niedawno zdarzył się przykry wypadek. Jeden z kustoszy muzeum, Bazyli C., nieostrożnie upuścił portrecik, który rozbił się na drobne kawałeczki. Wielka to strata, ale przecie... powetowana. Bowiem nieszczęsny kustosz, bolejący nad szczątkami cennej pamiątki, dostrzegł nagle pośród okruszków, złożoną w sześcioro karteczkę. Podniósł ją nabożnie i ujrzał... wiersz — poetycki portret imienia. Tak oto zastąpił on malowany.

Dlaczego Iłakowiczówna nie umieściła go w „Portretach imion”? Widocznie był jej nazbyt drogi, by się nim dzielić ze światem. Dzisiaj jednak ten wzgląd nie ma już znaczenia i sądzimy, że wiersz można opublikować.

LESZEK

Jasny, smukły, ręce miewa drobne, za to silne nogi taternika,
Chętnie oddałby się filozofii, gdyby go nie pochłaniała muzyka.
Obowiązki traktuje poważnie nad wyraz — a kiedy nań spadną zaszczyty
Dźwiga je z godnością, poczuciem odpowiedzialności, zda się, niczym
gronostajami okryty.

Niezmiernie śmieszności się lęka, kochany musi być koniecznie z podziwem,
A że po nocach źle sypia, o życiu mówi jako o czymś niegodziwym
I popada w melancholię. Ale nigdy ci nie powie, że „nie wybaczy”.
Do absurdu wrażliwy — gdy go wzruszy czyjś sopran lub tenor

ukradkiem płacze.

Do bliźnich się garnie, ufa lada komu, całkowicie niezdatny do polityki,
Jeśli czego nienawidzi, to wstawania rano. Kocha zaś nade wszystko janniki.

Fasada i tyły

Marta Wyka

Wznoszony podług ogólnie obowiązującego zamysłu architektonicznego gmach kultury zaczyna się na naszych oczach rozpadać. Przypomina to nieco działania wojenne. Kruszy się fasada, odpadają tynki, sztukaterie, farby i inne ozdoby. Mam na myśli wszystkie instytucje, powołane niegdyś ogólnie do propagowania kultury: kółka zainteresowań, zespoły amatorskie, domy kultury, zaopatrzone w obfite ciasto administracyjne, zarządzane, rejestrowane. Nie była to nazbyt piękna ani pociągająca fasada więc i żalować nie ma czego. Niektóre budowle być może pozostaną — te, których lokatorzy sami uznają, że się w nich nie nudzą i warto je dalej zasiedlać.

Natomiast nasze zbiorowe myślenie o kulturze drażnione jest potężnymi prądami, napędzanymi namiętnościami o różnej jakości: od chęci poznania prawdy po żądze odwetu. Widzę dwa takie prądy, czasem komplementarne, czasem wyraźnie rozchodzące się ze sobą i o nich teraz słów parę.

Pogoda jest sprzyjająca: cenzura nie istnieje, zatem to nie ona wytwarza wiry, niebezpieczne miejsca, głębie i płycizny. Tworzymy je sami i na własną odpowiedzialność, a czasem, niestety, bez żadnej odpowiedzialności.

Prawdopodobnie pierwszy: weryfikacyjny. Jestem za nim, ponieważ bez mądrze rozumianej weryfikacji nasza literatura PRL-owska przestanie być w ogóle rozumiana. Zatem trzeba koniecznie czytać inaczej „Popiół i diament”, ale także literaturę emigracyjną.

Dlaczego „Popiół i diament” to wszyscy wiedzą, ale o co chodzi z emigrantami? Do niedawna jeszcze pisarze ci byli źródłem podniekt przed wszystkim politycznych, sięgano po nich, aby zaspokoić apetyt polityczny i opozycyjny, aby się w swoim utwierdzić. Przerobiliśmy do końca tę lekcję i czas aby zadać inne pytanie: jak należy oceniać twórczość emigracyjną z czysto artystycznego punktu widzenia? Co myśleć o języku, obrazowaniu, stosunku do tradycji, zapleczu kulturowym? Otwiera się przed badaczami

wspaniałe pole tylko częściowo uprawione, można i trzeba postawić nowe pytania, poszukać na nie odpowiedzi. Ponieważ w gruncie rzeczy zadanie nasze (krytyków, historyków literatury) to nieustanne streszczanie dzieł na różne sposoby — niechże te nasze nie kończące się bryki zabłyśną nowym tonem i nieoczekiwaną inwencją!

Nust drugi: niwelacyjny. Wydaje się on szczególnie niebezpieczny. Okazuje się bowiem, iż na Katonę też trzeba posiadać kwalifikacje, a nie tylko silny napęd psychiczny i skłonność do ocen w kategoriach czarno-białych. Obserwuję ze zdumieniem i zażenowaniem, jak wybitni pisarze minionego okresu poddawani są torturom przez naszych Katonów, którzy w etycznym ferworze zapominają kompletnie o książkach, napisanych przez ich — skądinąd bezbronne — ofiary. Na czele listy znajdują się Iwaszkiewicz i Gałczyński. Zgoda na to, że w ich życiorysach znajdują się epizody, które dzisiaj nazywamy kolaboranckimi (sami by się pewnie zdziwili, słysząc ten termin); zgoda, że oportunistów, dworactwo i listy holdownicze. Ale dlaczego nikt nie wspomina o książkach, albo półgębkiem i kwaśno (Jacek Trznadel na przykład w „Polskim Hamlecie” skreślił w zasadzie z rejestru polskiej literatury „Zielone Gęsi”)?

Co zrobimy z Iwaszkiewiczem, kiedy już po raz setny wypominamy mu niesławny wiersz do Bieruta? Pisał o tym Miłosz w „Roku myśliwego” i powiedział tam wyraźnie, że pozostaną książki, książki... Czas zarządzić czynny niebohaterskie i bohaterskie, zał bronić będzie nas, piszących, litera tekstów. Tych najlepszych.

Poza kruszejącą fasadą, na tyłach budowli uwijają się niezmordowani niwelatorzy i likwidatorzy. Nie wiem, czy są pożyteczni. Oni są przekonani o swojej dziejowej roli. Powiedziałabym, że pieśń ujdzie cała, gdyby to nie brzmiało tak niemodnie, staroświecko i wbrew naszym wojowniczym czasom.

Wacław Klag przedstawia:



Marek Rostworowski

HYDE PARK czytelników

Droga Redakcjo!

Piszę do Ciebie ponoć „dziwna”, dziewiętnastoletnia dziewczyna, by Cię prosić o przeczytanie kilku z jej wierszy. Chcę mieć tylko świadomość, że Ktoś na nie spojrzal swoim Niezwykłym, Fachowym Okiem. Poprawi to wówczas moje samopoczucie, bo ostatnio trudno mi żyć i może być jeszcze trudniej, choć nie tracę pogody.

EWA z NOWEGO TARGU

Mojej starej miłości

A jednak nie odszedłeś do końca
Powracasz do mnie
w snach
w usniech
pod powierzchniami marzeń
Powracasz do mnie falą
a ja jestem piaskiem;

przyplýwasz
odplýwasz —
zostawiasz mnie mokrą od lez
w cichych bursztynach
skamieniałych pocałunków

Jeszcze jeden utwór: króciutki i tym ciekawsze opowiadanie URSZULI FLACHT z Myślenic:

Był takim piaszkiem. Ot, takim wróbelkiem. To byłoby cudowne. Latać sobie z drzewka na drzewko, od drzewka do parkanu. Cwierkać innym wróbelkom, że się jest głodnym, szczęśliwym, zmarzniętym, zakochanym...

Tak bym chciała. Inni też by chcieli, ale ich przeraża chłód. Mnie nie. Jestem do niego przyzwyczajona. Jest to co prawda inny chłód niż ten wróbelkowy, ale wystarczający, aby oszaleć lub stać się zasmarkanym sopolkiem. Mnie mężczy chłód od wewnątrz. Drzę wciąż. Nienawidzę go, ale tak naprawdę nie umiałabym już bez niego żyć. Przystosowałam się. Teraz już czuję coraz mniejsze obrzydzenie, gdy zaglądam w siebie i widzę tylko zimną, czarną, pustą dziurę.

Och. Wróbelkiem być... Latać sobie z krzaczka na chodnik, z cnodnika na płotek...

Dziobać sobie okruszki i nie wiedzieć nic o tym, że się jest niczym. A może się mylę? Może wróbelki też zagląda w siebie i amo jest zadowolony, albo z dnia na dzień czuje coraz większe (mniejsze) obrzydzenie do tego, co zobaczył?

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole I, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Wałas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

ISSN 0867-4094